

Wies

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok II.

Łódź, niedziela 16 grudnia 1945 r.

Nr. 20 (27)

WŁODZIMIERZ KAŚKOSZ

Dlaczego wstępuję na Politechnikę

Życiorys własny studenta chłopca

Drukujemy poniżej fragment życiorysu studenta Politechniki, chłopca, Włodzimierza Kaśkosza, życiorysu złożonego Włodzimierzowi Kaśkoszowi, zgodnie ze skrupulatnie dziś przestrzegany obowiązek przez nowowstępujących, Kaśkosz pochodzi ze wsi SIEDLIŚKA, gminy IRZĄDZ, powiatu WŁOSZCZOWSKIEGO. Maturę złożył celując. Nie mniej świetnie konkursowy egzamin na Politechnikę.

REDAKCJA

OD ELEMENTARZA

Kiedy zaczynała się moja nauka, obarczony byłem w gospodarstwie obowiązkiem „pasienki”. Z elementarza w niebieskich okładkach, kupionego na jarmarku matka odczytała mi na ostatniej stronie przestrożę, zaczynającą się od słów: „Różyczką Duch Święty dziać, ki bić radzi. Różga bynajmniej zdrowiu nie zawadzi”... Nie podobalo mi się to tak dalece, że po namyśle, dziesięć siedmioletni, powiedziałem, że już wiem czego chcę, aby mi kupili. (Bo przyjechał wtedy wuj z Ameryki i pytał, co mi kupię?) — Niech mi kupią PŁOT, abym krów nie potrzebował pilnować.

Co wuj opowiadał, dziś już nie pamiętam, ale to wiem, że chciałem wiedzieć wówczas jak życie jest na tamtych świecie ułożone, jak żyją ludzie innych krajów, dlaczego jest zima i lato, jak żyją zwierzęta, jakie mają kości i ile jakich, jak zrobić most lub skórę na buty, dlaczego usycha roślina i co to jest choroba?

Na te pytania znalazłem odpowiedź w szkole i książkach. Przeciw szkole powszechnej rodzice naogół nie mieli nic. Wymówek z tego okresu nie pamiętam, choć wiele dni zarwałem, zatrzymany do gospodarskich „pilnych” robót. Dopiero potem... kiedy zaczęło się gimnazjum, konspiracyjne gimnazjum, było ono wciąż zagrożone ze strony rodziny: dziadka, ciotek i bratowej, u których przebywałem. Sąsiedzi widząc mnie z książką, śmiali się, że się ucze na księdza za przykładem syna naszego kumotra, który mawiał uroczysto: „poczekajcie kszynie to jeszcze poniekiedy z was będzie mój Edmund w rynku całował”. A tymczasem w domu bywało, że ciotki i siostrzenice robiły straszny krzyk przy każdorazowej opłacie nauczyciela. Że to już nie był elementarz z różdżką Ducha Świętego, nawet przez księdza — dobrodziejza mile widziany — bratowa mówiła: „przez ciebie z głodu pozdychamy”. Aby uniknąć wymówek, zeszyty i inne przybory kupowałem z własnych pieniędzy, uciulanych na połowie kuropatw i zajęcy. Acz z niechęcią — zastawiałem sidła, bo szło o dalszą naukę, o zaspokojenie drażniącej ciekawości, co się dzieje w świecie, poza kręgiem mojej wioski i najbliższych okolic? Jak tam sobie radzą z trudnościami takimi jak u nas? Przeczuwałem, że tam są wynalazki i sposoby i dziwiłem się, czemu na wsi o nich się nie wie, nie mówi, nie żada? Nawet w odprawach polityczno-konspiracyjnych nie znajdowały te sprawy miejsca. Rozumowałem sobie, że widać my nie dojrzelismy do wyższego ujęcia naszych potrzeb — a tam w świecie o nas nie dbają.

WIES W OCZACH GIMNAZJALISTY

Z nauką nie było łatwo. Bez względu na pogodę musiałem chodzić na wykłady do dalekich Irządz. — Wytarty kożuszek i dziurawe buty w słoty jesienne, w czas zimy i wiosny, do tego lęk przed chorobą (znów będą pomstować na naukę). A serwituty wobec gospodarki — w koście, młócce, zwózce drzewa, podwodach i „narychtunkach” codziennych — to były podwójne straty: najpierw w czasie, potem w znęceniu. Walilo w skroniach, myśl uciekała, rosło przemożne pragnienie snu, w chałupie nieopalonej, przy nikłym świetle okopconej lampki. Bratowa często kończąc „przadło” gasiła mi ją przed nosem ze słowami: „czemu śpisz wytrzeszczasz w książkę zamiast iść spać?” albo: „jak chcesz świecić to se kup. Nie bede ostatniego fajka odejmowała dzieciom od gemby na naftę”.

Widziałem, że się mordują i że mimo pracy od świtu do nocy — nie wystarczało na zaspokojenie nawet najprostszych potrzeb w domu. Zabijałem sobie z tego powodu klina do głowy, rozmyślając całymi tygodniami, czy musi już tak być? czy też można przy tej samej gotowości do olbrzymiego wkładu pracy na wsi pomnożyć jej wydajność — uczynić ją opłacalną na miarę i kulturalnych potrzeb chłopca?

Kiedyś ze skrawka przedwojennej gazety, w którą był obłożony „Ojciec zadumionych” wyczytałem: „ogólna koniunktura gospodarcza ważniejszych państw świata spada do minimum... wykreślona produkcji i konsumpcji różniczkuje się niepomierne. Coraz większe masy bezrobocia muszą w nas budzić niepokój”.

Ten niepokój miałem już od czasów niebieskiego elementarza.

Rozbudzały go, jak błyskawice, często i fragmenty lekcji.

Pamiętam, jak nie mogłem się nadziwić mizernym w rezultacie skutkom epokowego wynalazku Gutenberga. Świat już od 500 lat przeszedł od pisma na druk. Dziś są rotacyjne, udoskonalone drukarnie, a książka i pismo wcale nie stały się jeszcze własnością milionów.

Pamiętam jak nasz historyk nazwał Napoleona ostatecznym wodzem starożytnym, bo wojował tak, jak Cezar lub Ryszard Lwie Serce jeszcze przy pomocy wozów. Pamiętam jak się skrzywił, gdy wspominał o nieprzyjęciu przez Napoleona Watta, twórcy maszyny parowej... Mówił — „a w 1820 roku już był pierwszy strajk tkaczy w Manchesterze na skutek epokowego przejścia ludzkości od produkcji rękoźmielniczej do maszynowej”. Cytował nam z Norwida wypowiedź Byrona: „należy się cieszyć z postępu machin, ale, Milordzie, nie godzi się, aby machin doskonałość okupować człowieka degradacją”.

Zostało mi to w pamięci — POSTĘP MACHIN I NIE DEGRADACJA CZŁOWIEKA!

Przyczem przyznać się muszę, że pierwsze silniej. Niechby tylko były, mówiłem sobie, słysząc żarn pracowite obracanie, słysząc cepów bicie przez całą jak długą zimą.

Pamiętam, jak ten sam historyk zwracał nam uwagę w wojnie francusko-niemieckiej z 1870 roku na

wydatne po raz pierwszy użycie przez Niemców kolei i telefonu polowego: szybka mobilizacja i zcentralizowane błyskawiczne operacje — to dało Niemcom wygrana... A nam chłopom co da wygrana?

„WIELCY TWÓRCY NAUKI”

Do odkrycia byłem przygotowany, ale samo olśnienie spadło na mnie z przypadku. Pewnego dnia dał mi profesor fizyki do odczytania na zastępczej lekcji w niższej klasie fragment z książki p. t. „Wielcy twórcy nauki”. Lekcję odbyłem, ale książkę zabrałem do domu. Paliła mnie w drodze, a pięć było kilometrów.

Jak nieprzytomny deklamowałem nocą umiane już na pamięć daty: 1816 — pierwszy most wiszący, 1819 — pierwszy statek parowy, 1825 — otwarcie pierwszej linii kolejowej, 1833 — pojawienie się zapalek w handlu, 1836 — użycie gazu-acetyleny do cięcia żelaza, 1844 — pierwsza mechaniczna wiertarka do kamienia, 1860 — pierwszy motor gazowy, 1866 — pierwsze udane wyniki z fotografią, 1867 — pierwsza dynamo-maszyna, 1876 — odkrycie mikrobów (lekarz wiejski — Koch!), 1877 — telefon ulepszony, 1879 — pierwsza żarówka, 1895 — kinematograf, 1897 — radioaparat, 1900 — nowa stal do obróbki metali i piece elektryczne do topienia stali — nowy okres w dziejach techniki — wzmożenie tempa produkcji!

Teraz się już nie kuliłem, gdy bratowa nad moją głową zaczynała swoją wieczorną piosenkę: „czemu śpisz wytrzeszczasz w książkę...”

Często schodzili się do nas sąsiedzi, bo u nas było zawsze światło. Wynurzały się z ciemności ich twarze poorane troską. Bielanowicz skarżył się, że nie może wydołać młócce, Sorkowi padł koń i nie porała pola, Boryn, którego jeszcze przed świtem słychać było jak skrzypiał żórawiem, mówił głucho, beznadziejnie o przednówku, Sikora, który ma raka żołądka, milczał tak wymownie, jakby chciał powiedzieć: przez moją chorobę moje nanie, ale i wasze przy zdrowiu tyż nanie.

Otaczali mnie co wieczór coraz ciśnień, aż któryś zajrząwszy przez ramię pytał: „coż tam, Włodziu, czytasz?”

Czy wieś rzeczywiście opiera się przed postępek? Jeszcze teraz widzę, z jaką pożądlivością wpatruje się Bielanowicz w ilustrację motoru elektrycznego, z jaką ciekawością słucha Sorek o korzyściach wyzyskania pracy traktorów. A Sikora, kiedyś mówił o odkryciach Marii Skłodowskiej i sposobach leczenia raka, kiwał wprawdzie nadal melancholijnie głową, ale się odezwał: „kaj to dojdzie do mnie? — a po namyśle — ale moje dzieci już wyleczy — kieby miały po mnie chorować”

Dopokąd patrzyli i słuchali, ożywiali się, błyszczeć zaczynały oczy tym starym, przemęczonym chłopcom. — Zjawiały się — humor, bystra uwaga, szczegółowe pytania. Rozsiadali się godniej, kiedy opowiadałem, że Stephenson, twórca kolei był synem robotnika przy pompie parowej. Jako chłopak pasał krowy, potem pomagał ojcu. Nazywano go już wówczas „doktorem maszyn”. (Tu sąsiedzi poglądali na mnie życzliwie, jakby w dowód uznania dla mojego uczenia się. Odczuwałem ich spojrzenia jakby wyrównanie za te conocene: czemu śpisz wytrzeszczasz w książkę?)...

Uczył się czytać i pisać — opowiadałem dalej — na własną rękę, miał już wtedy więcej niż 15 lat. Droga wynalazku i zastosowania lokomotywy była długa i trudna. Pompy parowe i parowozы wtedy jeszcze pochłaniały masę węgla i nawet na kopalniach wahano się je wprowadzać do własnego użytku, nie były tańsze od koni. Ale chłopak się uparł — bo miał — mówiłem teraz głośno, stanowiło to bowiem i moje wyznaczenie wiary — bo miał wytyczną — OSZCZĘDZANIA.

(Dalszy ciąg na str. 3-ej)

JAN BOLESŁAW OŻÓG

Nowy dom

Znowu stanął, nowy,
pobielany,
na węgle starej ścieżki.
Szumia, cieszą się ściany
w kadłubach poczętych mieszkań,
czeka komin na wianek
i sięć się w wiechę obłoczny
w komorze.
Od szos od telefonicznych słupów
na kołach skłonią się zorze, —
a pola pług przykucza,
kieraty — żółwie biegają.
Rój trzmieli adoruje
wystawienie najświeższe
u płotu w słoneczniku.
O pójde cichy, drzwi się czepię,
ze studni woda się przeźgnam,
u węgla ziemię pocałuję
i pod lipową muzyką,
na wysokim piętrze
gniazdo jaskółce ulepię.

STANISŁAW NĘDZA-KUBINIEC

JANOSIK

(Fragmenty z IV pieśni poematu)

Fragment I — Chałupa

Ciągnie się pomalutku... pomalutku —
bajda o Janosiku.

Tak: —

Janosik skoczył na zaczarowanej ciupadze
i trafił wprost do domu...
rodzinnej sadyby —
nie błędząc już nigdzie po drodze.

Wieś jak wszystkie podhalskie — ciągnęła się koło potoku,
rzędem.

Osiadłe ojców Janosikowych — trochę wyżej wyciekło
do grapy... na południową stronę —
słoneczku w zęby...
Stało mało na osobku...
ale w środku
wsil!...

Twarde jesiony kępą — z konarami potarganymi od
halnych wiatrów,

rosły wokół chałupy —
krępkimi korzeniami podlaży pod przyciesie.

To też w czas wiatrów, trzeszczało w chałupie jak
w lesie...

Trzeszczały węgły i krokwie i chałupa kołysała się
razem z drzwiami. Z góry konary trzymały wiejską szatę,
ażeby w czas dujawić nie uleciała w górę z wiatrem.
W czas spieki, dujawić śnieżnych, deszczowych zasieków
nad chałupą trzymały drzewa opiekę.

Drzewa wysokie,
które zasadził pra-pradziadek
przed wiekiem...

Chałupa była stara — z tramów smrekowych stawiana,
drzewiej... drzewiej... później naprawiona zmieniona,
dostawiona

a ciągle ta sama.
Nie wiedzieć poci
w zieloną ubocz
do słońca rzucona plama
Chałupa?...

Miała izbę czarną i białą... komorę... mroczną sień,
szerokimi dźwierzami zaparta noc i dzień,
stajnie na bydło, szopę, boisko, różne jaty: —
słowem chłopska chałupa — siedlisko niebogatę;

gdzie żywot jedna mordęga ciągnie się od pokoleń...
W czarnej izbie — królował piec... kępą kamieni;
warzy się strawa w garncu kamiennym... dymią zapachy
ziemi,
...za nim szeroka ława, gdzie zwykle chłopska nędza,
syte lub głodne noce — w miłosnym ścisłu spędza...

Twarde zgrabiałe palce — zgarniają szept miłości,
lub sen gorzki sen twardy prostuje zmęczone kości.
W czarnym kącie drewniane wyrka słomą ścielone ktoś
zagroził
gdzie w dzień, nagie tulą się dzieci i kura jajko rodzi...

W czarnej półce gliniane miski,
za rzeźbionym łyżnikiem, jaworowe łyżki,
pod ławą cebrzyk drewniany statek potrzebny przecie,
w dzień służy do posługi... w nocy ciurkają weń dzieci...
Miasto dyli — polepa,
ubita na twardą gleba...
w nierówną wyboistą drogę...
Nie mogę
pisać...

Czarna izba chłopskiej chałupy ty jesteś dla mnie jak
rana...
W takiej rodziłem się kiedy (pod siódmym numerem
w polanach)

Chałupa stoi do dziś dnia... w ten czas mieściła nas
śladnie,
dwie rodziny, naszą i ciotki — mendel dzieci, parę cieląt,
jakieś jagnię
w tej izbie zawsze dziecko płakało — starzy kłęli na
czym świat stoi

na czas płony, niepotem roki, ojca w krzyżu coś strzyka,
matkę w dolku zaś boli.
na noc ścieloną na słomę na polepie tuliliśmy się w
ścisku.

Dziadek stękał za piecem: — że go morzy siedlisko.
Kołyska bujała nad nami na sznurach (matka ruszała
kołyską)

ojcowie chrapali na pościelach drewnianych (pościel
skrzypnie przy zapiecku)
Szymek cioteczny brat szturkał mnie i szeptał — będzie
znów małe dziecko)
Był starszy... jam nie rozumiał, ale bałem się małych
dzieci,

które zawsze skrzeciły i musiałem je bawić,
gdy starsi wychodzili do roboty.
Ale bywały i dnie radości,
gdy matka idąc do pola,
dawała nam po kęsie z masłem moskala.
A stary dziadek Majcher Nędza,
opowiadał o zbójnickich pieniądzach,
śniły się po izbie czarownicy, boginki, strachy i inne
dziwne powieści,

otwieraliśmy gęby od ucha do ucha!...
Myślałem nieraz, gdzieby to znaleźć ten zaczarowany
świat?

...świat ducha?
Od tego czasu upłynęło sporo lat!...

Po drugiej stronie sieni była biała izba: —
(przed dziećmi biała izba zawsze była zaparta)
Chłopska świetlica...
Słońce ślizgało się jak pajak po żółtych płazach,
złote promyki kładło światłom na lica,
którzy pod wyszukaną powalą na całej ścianie w gęstwie
spacerowali w szklanych obrazkach po rysowanej listwie.

W kącie u ściany
stół ogromny z jaworowego drzewa,
cisem wykładany...
Stół święty, na którym chleb tylko kłaść się godzi
albo ustami dotknąć jak szkło wygładzonego blatu,
uświęcony krzyżem, którym stawiał ksiądz dobrodziej,
w czasie kołedy co roku,
i świętości kładł na niego.
Pana Jezuska z olejami,
gdy przyjeżdżał do chorego
przeżegnać na drogę wieczności.

Pod drugą ścianą białe pościele
pstre zagłówek, pasiaste pierzyny,
skrzynia malowana w jaskrawe kwiaty,
chłopski artyzm — chłopskie światy...
nieliczne, szczęśliwe godziny.

Biała izba — to chłopska niedziela
czarna — to zwykły szary dzień...
(tulający się mgłą po opłotkach).
Miasto zna wieś tylko z niedzieli,
odziana w kwaciaste zapaski,
pawie pióra, pstre opaski,
mieszkającą w białych izbach i na sumie w kościele.
Czas — dzieciół kuje w drzewo — nie wiele, nie wiele...

Miedzy izbami była wąska mroczna sień w niej jak
w schowku,
w kącie stał plug, uparty gazda i żarna wartkie po
żniwach głuche na przednówku,
z ziemi szło się po drabinie na strych, tam było zboże
w sąsiedkach.
Sąsiedki często bywały próżne, deszcz gęsto przez dach
przeciekał.

W stajni poza domem
chude krowy żuły słomę
lub ruszały zuchwami leżąc po powrocie z pastwiska.
Bydło tak samo jak ludzie,
czasem jest dość, czasem trza przycisnąć paska.

Fragment II — O uwiedzeniu przez panicza Weronki, siostry Janosika i jej śmierci

Poco czeremcha biała zakwita?
Spytajcie lasu.

W te żniwa Weronka robiła się ładną,
mówiła jej o tym woda źródłana,
czerpana do wiadra,
oczy chłopców przy kościele.

Weronka marzyła czasami,
idąc za krowami,
mało wiele.

Proste słowa układały się w prostą piosenkę: —
„Kieby miała korale, cieniutkie płótno w skrzyni,
Ej, byłaby ze mnie śwarno gospodyni;
mom dwie ręce do kochania i dwie do roboty.

przyjedź konikami abo przypląń wodom,
powiedz mej matusi, że ci się podobom...“
We włosach zjawił się kwiatek —
bławatek,
polny mak...

Kieby ojcowie wyuczyli nareszcie Janosika...
ciężko w chałupie
tak.

Zbieraliby lo mnie wiano,
wstawaliby co dzień rano
przedła len, tkala płótno.
Cy ci też Janicku wesoło w tym mieście cy smutno?

Leci czas harówka naszych dni — sto roków, może
dwieście,
jak uczył się Janosik w białym klasztorze — dużym
mieście.

Cwiczyl się w świętej teologii, kuł grekę i łacinę,
by rzucić chłopski stan, zaprzestać być kapcanem.
W czarnej izbie ostali: ojciec stary i matka, siostra
Weronka;

czas na różaniec nizał dni... szare dni... dzionek do
dzionka.

Chałupa kurczyła się w słońcu, chałupie w grapie na
brzysku,

ekonom co drugi dzień bucył w szyby błoniaste: —
jutro na pańskie.

Weronka kończyła piętnasty rok: Masz zdrowych rączek
dwoje,

idź-że dziewczę do dwora, nie leń się dziecko moje,
odrobić pański czas. Posyłał Weronkę ojcowie
do żniwa, grabić siano, wiązać snopy, co pan ekonom
powie.

Karmiła dworskie krowy, nosiła słomę, rżnęła sieczkę,
przeszło lato, jesień, zima... ładajaka popychaczka.

Dworusy jak buchaje gzili się za każdą kiecką.
Przyszła wiosna. Młody panicz był też na dziewki łasy,
ej, po co ci Weronko zakwitło młode liczo krasa?...

Krótkie były pańskie zaloty.
Leśne polanki... miedze... krzywe płoty...
syżać żmije... miejsca pańskich żądź...
w piątki przed kościołem chrzcili nieślubne dzieci ksiądz,
aby wykazać całej parafii ohydę grzechu.

Małej Weronce wcale nie było do śmiechu...
Popłakiwała...
E, będzie mnie tys moja matusia biła...
Komuż się mam chudziina pożalić?
W domu nie mówiła nic, nie było się czym chwalić.
Młody panicz jak pszczoła wysysał słodycz,
Weronce ostał płacz

We wsi rozklekotały babskie jęzory — stara chrzestna
matka głową trzęsie
wiecie ludzie kochani — Nowina! Weronka z grapy
będzie mieć bęsia.

Ledwo to trochę podrosło, już dało sobie pościelić.
Ej nie bedom się hań w grapie ojcowie z tego weselić.
Shonornieli, synek klerykiem — wielki host — nadzieja
pusta.

ftóz im go teros wyświęci? Kiej w doma tako ospusta...
Shonornieli na iment, będzie swój ksiądz. Zle pomaluczkę
chodzi,

ale zajdzie tam ka tera fto zasłużył, do miary wygodzi.
Klece wieś —
będzie Weronka mieć bęsia.
Ludzkie ozory jak żarna mielą zawistny śmiech.
Grzech... Grzech...
W ostatku przyszła wieść
ojcom
ciężkim czarnym ogrójcem.

Matka przypatrzyła się zmienionej Weronce:—Ty suko!
ręce na wsi nie skore do pieszczoty, ale twardo tłuką.
Pióra jak kilofy, jak kamienne tłuki, rwą za warkocze.
Ej, twarzi ci ludzie z chałup, z grap, uboczy.

Weronka wyje:—
Nie bij mam... mamičko... bo mnie zabijesz!...
cós jo biedno winowato?
Chodziłak do dworu do roboty,
tyś mnie posyłała.

Matka zadyszana przestała.
Weronce zaczęło się ciężkie życie,
pustka ścian groziła jej kułakiem,
przezwickiem,
Włoko!
biciem...
pustka ścian szeptała co począć.

W niedzielę
stara Janosikula modliła się w kościele,
przed samym wielkim ołtarzem...

(Dalszy ciąg na str. 3-ej)

JANOSIK

(Dokończenie ze str. 2-ej)

Kłuty ją w kark, ciekawe kumosek spojżenia
jak noże
pluły jadem ciężkie pytające twarze.
Suche wargi rozchylił szept: —
Boże, Boże, usłysz mnie...
cemuś mie takim ciężkim obalił krzyżem?
Tyś lihościwy?
a jo mało żywo...
widzis! jo staro, głupio, ciemno matka płacem: ---
tu nie chodzi o mnie,
o moją ślepa nędzę,
ale ty wiesz, że mój syn mo być księdzem...
Twoim piastunem i ten grzech stanou mu na drodze.
Wiesz kiel to był host,
kielo praca?
jak nie popuścisz, upadniemy jak ślepe glisty.
zmaz ten grzech cohy go nie było,
bo powiedz co my baby winne?
Ty mos siłę!..
Mnie już nie idzie o to dziecko,
co niechające mo być,
jesce w chałupie kapka mleka jest,
ale przez nie wyżeną syna ze szkół: —
Panie, Panie, jo niegodna,
ale mi okropnie ciężko,
chyle się jak wierzbą płoża,
jak jałowcową wić!..
Patrz! Jak te baby w kościele pozierają na mnie
sydersko,

zek śmiała pojrzyć trochę wyżej jak ludzkie nosy...
Nie chciał odpowiedzieć Pan Bóg
cudem...
trzeba się chwycić innego,
ludzkiego sposobu.
Po wieczery
szepczą ojciec z matką długo, długo w noc
jak pacierz.
Tu nie pomoże nikt; sam sobie musi człowiek pomóc.
Nie ma co radzić...
Diabeł nasłał grzech, diabłom go trza zgładzić.
Rano wzięli oselkę masła, trochę lnu, jajek trzy,
na polanie w Tatrach mają chaupę czarownice,
mają ziela, mają leki
odczyniają uroki: —
— pomoga —
— posła.
Chodziła dwa, trzy dni,
wyżene cie teraz grzechu
z chałupy niedrogo.
Wiesz ma swoje tajemne praktyki.
Matka Weronce szeptała skrycie,
kiwała sędziwą głową,
potrząsała przyniesiony napój w szklancy,
niedokończone rwały się słowa: —
wypijesz! Gorzkie jak ogień, skocysz z przylasu,
jakiębyś ręką zdjął, brzuch ci zlekceje odrazu...
Będzie boleć? Cierp babo, miałaś grzyśne słodkości,
to nie, że trochę pocierpis, przejdzie ból i popuści.
Ojca wysłały do dworu
Zaparzy dzwierz, drewnianą zaporą,
poszły do szopy.
Pokrzywione jesiony konarami trzęsą.
Matka z Weronką zabijają pańskiego bęsia.
Wa boisku zduszony krzyk: — Jezusie! Mario...
Matka szepcze: — Cicho córus, jagódka moja!
Córka wyje: — boli, boli, córus popuści!
Ino kieby Jezusicek kciół nom odpuścić...
w boisku cisza...
Tylko jesionom gąłężami wiatr kołysał...
Leży cicho Weronka na boisku na długiej słomie
wargi spiekle szepczą: — I nic tu jus matuś po mnie,
ręką, nogą nie rusz, krew mi spod serca wyciekła,
zabiły my matko duse, pewnie pódem do piekła.
We wnętrzu mi ulżyło, nie mie nika nie boli,
kiej niedługo się żyło, nie trza mi jus koroli
ani żadnego wiana.
Zostaniesz matko sama...
Dziękuję ci pani matko, żeś mie chowała,
kołysała, jeść dawała, włosy cesala,
nie będziesz mie budzić matko codziennie z rana,
i o świecie na pastwisko krówek wyganiać.
Nie zaplotą mie družki do ślubu
wężną chopcy białą truchlę — włożą do grobu.
Westchnęła...
Matka skuczy jak suka w kacie...
popod niską powalą przeleciał anioł śmierci.
St. Nędza - Kubinieć

NUMER GWIAZDKOWY

W numerze świętecznym — powiększonym
— znajdują czytelnicy utwory między innymi
poetów i pisarzy następujących:

Przybosa, Czechowicza, Pięta, Kubisza,
Baranowicza, Ożoga, Szewczyka, Frasiaka, Mar-
ca, Ziarnika, Kamińskiego, Miniasa, Zalew-
skiego, Duranowskiego, Wiktora.

Nadto:

Z poezji chłopskiej zagranicznej —

LUDOWY POEMAT PROWANSALSKI,

z naszej dawnej —

KOLENDY CHŁOPÓW Z PRZED LAT
i GAWĘDY Z CZASÓW PAŃSZCZYŃNIANYCH.

Dr J. SPYTKOWSKI

Samorodny talent prozaiczny
Józefa PoganaPOWIEŚĆ — RZADKI GATUNEK PISARSTWA
LUDOWEGO

W porównaniu z formą wierszowa kompozycja po-
wieściowa zjawia się jako ostatni etap w opanowywa-
niu formy literackiej przez pisarzy chłopów. Mielis-
my dość wcześnie licznych narratorów ustnych (Sa-
bała, Boroń), autorów swobodnych opowiadań (Suleja,
Bojko), humorystycznych gawęd (Kucharczyk, Pa-
sierb). Mielismy pamiętnikarzy (Szarek, Słomka, Ku-
raś), ale były to luźne gatunki, w których udział po-
mysłowości kompozycyjnej pisarza był niewielki. Nikt
przecie w pamiętniku nie szuka konstrukcji, bo istota
tego gatunku prozy jest swobodne narastanie opowia-
danych z życia faktów, osobista ważność przeżyć
autora. Tymczasem powieść musi się uniezależnić od
autora, wesprzeć na własnej konstrukcji: autor powie-
ści musi obliczać jak architekt przed rozpoczęciem bu-
dowy. Wymaga to stałego namysłu, który w warun-
kach wiejskich, przy prymitywnym podziale pracy
jest rzadkością.

DEBIUT JÓZEFA POGANA

Ambitną próbę stworzenia realistycznej powieści
chłopskiej podjął chłop - pisarz Józef Pogan. Ur. 30. I.
1905 r. w Wierzmanowicach k. Oicowa, samouk, mało-
rolny, zamieszkał w latach 1938-9 kilka pomniejszych
prób wierszowanych i prozaicznych w „Ogólnopolskim
Informatorze”, „Chłopskiej Prawdzie”, „Życiu Strażac-
kim” i „Rolniku Polskim”. Dopiero w czasie wojny
wziął się do beletrystyki pisząc trzy duże powieści:
„Ugory”, „Cierpki owoc”, „Ludzie Pustkowie”, kilka
nowelek i obrazków. Wszystko to narazie rękopisy
(ok. 30 brulionów) z tego zaledwie fragmenty wydru-
kowała „Orka” w Nr 4-9, „Wieś” Nr 7-8 i „Twór-
czość” zes. 3.

REALIZM CHŁOPSKIEGO ŻYCIA W JEGO
POWIEŚCI

Po przeczytaniu tej rękopiśmiennej prozy stwier-
dzić trzeba, że samorodność talentu Pogana przejawia
się zwłaszcza w krótszych utworach, a z większych
tylko w fragmentach. Te najlepsze miejsca świadczą,
że mamy do czynienia z pisarzem o zamasywym tem-
peramencie, który z pasją przedstawia zadrażnienia
ambicji chłopskiej i wykorzystuje każdą sposobność
ku temu: bijatyki, kłótnie, swary wypełniają też wie-
kszość brulionów. Krótko mówiąc pociągają go mo-
menty wyzwalania się odruchów, instynktów, tempera-
mentów i czuje się najlepiej w scenach pełnych ru-
chu. W dialogach, w opisach nie spuszcza z oka żadnego
szczegółu i daje się uwieść drobiazgom. Porywają go
one swą ważnością, narzucają mu się wszystkie naraz.
A że zmysł obserwacyjny i pamięć są u niego pier-
worzędne, nie musi się uciekać do tradycyjnej legen-
dy wstowej, bo otoczenie dostarcza mu zawsze aż
nadmiar ciekawego materiału. Maluje, jak widzi, kła-
dąc na obraz tyle szczegółów, ile ich jest w naturze.
O jakimś harmonizowaniu czy cieniowaniu nie ma tu
mowy: u niego wszystko jest na pierwszym planie, rów-
nie wyraziście i ważne. Pogan nie widzi całości, bo
zbyt blisko trzyma się przedstawionego obrazu.

JĘZYK POGANA

Braki kompozycyjne wyrównuje jednak rozmach je-
go prozy. Gwara jest kołem rozpedowym, które pory-

wa autora bawiącego się tym językiem, zanikającym
już w środowiskach wiejskich. Pogan w życiu potocz-
nym posługuje się językiem literackim, odczuwa więc
dobrze stylistyczne efekty gwary, liczy na nie szcze-
gólnie w dialogach kłótni wiejskich. Tu jego język
jest jakby żywcem ze wsi wyrwany, nagrany na taś-
mę i odtworzony; każdy frazes wiejski zapamiętany
i w tej fotograficznej postaci podany. Żaden z pisarzy
chłopów nie tkwił tak cały w mowie swego środo-
wiska.

Szkoda tylko, że Pogan zbyt często spaja te frag-
menty gwarowe spinkami żargonu literacko - gazeto-
wego, oprawiając autentyczny i surowy żywioł w ram-
ki zdawkowego komunizmu. Poza dialogami Pogan nie
odczuwa widocznie potrzeby stylizowania gwarowe-
go... nie uświadamia sobie, że gwara najlepiej wycho-
dzi właśnie w spokojnej narracji. Tego rażącego roz-
bicia stylistycznego jego utworów nie usprawiedliwi
dostatecznie wzór młodzieńczego „Pomoru” Orkana
pisanego zresztą z inną intencją.

TENDENCJA SPOŁECZNA

Bo Pogana, mimo zewnętrznych cech autentysty
tj. bezstronnego opisywania życia, niepokoią problemy
oświatowe i wychowawcze wsi, dlatego wybiera on
wątki, z których następnie wyprowadza wnioski wy-
chowawcze, nieraz może zbyt prymitywne, jak np.
w zakończeniu „Ludzi Pustkowie”. Brakiem oświaty
i odpowiedniego wychowania tłumaczy też błędy mło-
dzieży wiejskiej; w końcu obwinia jej również nieu-
świadomionych rodziców, którzy w jego utworach po-
noszą zawsze karę za zaniedbanie swych obowiązków.
Pierwotny ludowy motyw zemsty losu, winy i kary,
tkwi też na dnie każdego utworu Pogana. Świadczyć
o jego szczerze chłopskiej etyce. Sympatia autora kie-
ruje się zawsze w stronę zdrowej obyczajności i mo-
ralności wsi; oburza go każdy przejaw niesprawiedli-
wości społecznej, dlatego stałe po stronie wyzyskiwa-
nej przez bogaczy biedoty wiejskiej. Pogan nie jest
nigdy konserwatystą w tradycyjnym rozumieniu; to
typ nowoczesnego i postępowego chłopca pragnącego re-
form gospodarczych, oświatowych i wychowawczych,
podkreślającego doniosłą na wsi rolę szkoły. Toteż
w satyrze prozaicznej „Niedoleżne małżeństwo” kpi
z pasją z prostackiej i niechlujnej gospodarki ziemia-
ni.

MOŻLIWOŚCI POGANA - PISARZA

Jeżeli do tego dodać jego zdrowy pogląd na ero-
tyzm, bo i przed tym problemem nie cofa się Pogan i
ze wstrzemięźliwą śmiałością obnaża te strony oby-
czajowości chłopskiej, aby wyciągnąć wnioski wych-
owawcze — to stwierdzić trzeba, że ma on wszystkie
dane na dobrego pisarza. Braki jego prób powieścio-
wych pochodzą z nieświadomości o sobie gatunku
swego talentu, z ambicji napisania obszernej kompo-
zycji powieściowej, która, zdaje się, nie leży na linii
jego uzdolnień. Wnioskujemy raczej poprzestać na kró-
tszych rodzajach literackich, gdyż jego powieściowe
pomysły zawieszono na na mikłych wątkach noweli-
stycznych, latanych wstawkami obrazków obyczajo-
wych. Natomiast w krótkich i zwartych opowiadaniach
takich jak np. „Morowa baba” (warto by wydać dru-
kiem), dodatnie cechy jego talentu uwidatniają się
w pełni i pasują go na jednego z czołowych prozaików
chłopów przez doskonałość obserwacji, prawdziwość
wyrazu i zdrowe wnioski społeczne.

Dlaczego wstępuję na Politechnikę

(Dokończenie ze str. 1-ej)

Najmniejsza praca i najtańsze koszty, a największe
wyniki! Nad tym trzeba myśleć:

Stephensonowska maszyna robiła ledwie 20 km na
godzinę, dziś przeciętnie — 60 km, ale wówczas w par-
lamentacie angielskim, kiedy o tym mówił, zdumiewał
Izbę. Nie chiano słyszeć o przewozie ludzi (przy takiej
szybkości!) Debatowano nad tym czy państwo może
zmusić obywateli do wydzierzawienia gruntów pod li-
nie kolejowe. Były sprzeciwy. Sprzeciwy wobec... PO-
STĘPU.

Ale kiedy kończyłem opowiadać i sąsiedzi zaczy-
nali się rozchodzić, któryś z nich mówił sakramental-
nie: „Cóż, u nas tego nima i jak poradzić, kiej ci bida
po gardzieli śwista”.

KOŁO FIZYKÓW I PARTYZANTKA

W pracy szkolnej znalazłem kilku kolegów o podob-
nym nastawieniu. Założyliśmy „Koło fizyków”. Na
jednym z zebrań miałem referat z zagadnień kinetycz-
nej teorii materii. Maxwell marzył kiedyś o skoordy-
nowaniu ruchu cząsteczkowego, który stałby się przez
to nieprzebranym źródłem energii. Istotą życia jest
ruch, jak zastój objawem zamierania. Aby ruch jednak
stał się źródłem mocy, należy go uporządkować i zor-
ganizować.

Kiedy tak mówiłem jako fizyk, chciałem aby mnie
rozumiano, jak — społecznika. Miałem wówczas przed
oczną obraz naszych pól, nieznanych chłopu bogactw
ziemi i obraz naszych olbrzymich, a jak mizernych w
skutkach wysiłków.

Na warsztat dyskusji w naszym kołku dostawały się
zwroty jak: co znaczy zdanie — „chłop jest przywią-
zany do ziemi, albo — „chłop pozostaje sobą dopóki
trzyma w ręku plug”? W nas fizykach zwroty te bu-
dziły potrzebę rewizji, poprawek, sprostowań. Mówili-
my: pojęcie ziemi jest nierównie szersze. Co kocha
chłop? — glebę! Ale górnik też kocha ziemię, też w
ziemi pracuje. Są trzy strefy ziemi — wnętrze, gleba
i atmosfera. A czymże jest węgiel, żelazo, nafta jak
nie ziemią, czymże maszyna, czym towary, od ubrania
poczynając a na radio-odborniku kończąc — też zie-

mią. A podróż samolotem nie jest to wystrzał kawał-
ka ziemi wracający do niej nieuchronnie spowrotem!

Skąd nasza małoduszna zarozumiałość? Chleb z zie-
mi, jaki ludziom dajemy, to nie wszystko, co z niej
być może. I bez tej reszty coraz bardziej rosnącej i
znaczącej nasza praca na marne pójdzie. Rozszerzmy
naszą miłość do ziemi, inaczej przepadniemy. Przystań-
my kochać tylko glebę. Kiedyś znać była ona prawie
wszystko. Myśmy ją pierwsi zrozumieli, ale dziś w ro-
zumieniu możliwości ziemi zostaliśmy na ostatku. Czas
się zbudzić! W tych naszych wywodach może nie treść
zagadnienia była odkrywcza, ale samo jego postawie-
nie.

Kiedy byliśmy w partyzantce, a zabrała nam ona
wiele czasu z pracy szkolnej, nasze poglądy jeszcze
bardziej się wzmocniły. Na biwakach i podczas marszu
mogliśmy się przekonać — w rozmowach — że nasze
dążenia przerastają dążenia kolegów. Jedni z nich szli
walczyć o Polskę „lepszą”, co rysowało im się mgliście,
inni konkretniej mówili — o reformie rolnej z dużymi
gospodarstwami, jeszcze innym szło o Polskę, w któ-
rejby chłop został uszanowany i w prawach równych
był. A myśmy mówili: Polska o rozbudowanym i udo-
stepnionym dla wsi przemyśle. Polska, w której chłop
będzie inżynierem, technikiem i budowniczym przemy-
słu. Bo coż bez tego znaczy 15 a nawet 30 ha? Skąd
uszanowanie, jak sami nie stworzymy dobrobytu, pod-
stawowego warunku dla życia w kulturze? Spełnienie
naszej idei — tylko ono zadecyduje o powodzeniu poli-
tycznej idei Polski Ludowej.

Maturę zdawaliśmy już w wolnej Polsce. W domu
wiedziano na co pójdę, choć bardzo się to miało z ma-
rzeniem rodziny. Dziadek jeszcze nie zrezygnowany do-
radzał seminarium duchowne: „kto ma księdza w ro-
dzie, temu bieda nie dobodzie”. Aleśmy w pięciu ze
Szczekocińskiego, chłopskiego gimnazjum, wprost ze
wsi, poszli na politechnikę. Pierwszy raz widziemy więk-
sze miasta, tramwaj, windę, telefon, centralne ogrze-
wanie, kino, teatr, fabryki i żywe w pracy maszyny.

Czyśmy nie chłoni?

Włodzimierz Kałkoś

Z. SKWARCZYŃSKI

W dwadzieścia lat później

Rozważania rocznicowe

Na rok bieżący przypada dwudziesta rocznica śmierci Władysława St. Reymonta, autora Chłopów, laureata nagrody Nobla, jednego z czołowych pisarzy swego pokolenia.

Z odległości upłynionego czasu, w obliczu rewolucyjnych przemian zaszłych w życiu wsi dzisiejszej, należy dokonać oceny wartości pisarza tego dla wsi, a ideom, jakie propagował i którym hołdował, wyznaczyć miejsce właściwe w kulturze chłopskich mas.

Drobiazgowej analizy i oceny artystycznej twórczości Reymonta dokonał Julian Krzyżanowski. Nas interesują tylko wartości społeczne z nią związane.

REYMENT I ZIEMIANSKI RODOWÓD

W liście Reymonta do hrabiego A. Wodzińskiego, liście będącym w wielkiej mierze życiorysem, znajdujemy pewien, choć drobny, nie pozabawiony przecie pieprzyku i ogólnej wymowy — fakt.

Autor Chłopów usiłuje tu, przy pomocy subtelnie sfabrykowanej nieprawdy, przedstawić się swemu utytułowanemu adresatowi jako potomek ziemiańskiej niegdyś, a podupadłej obecnie rodziny, mówiąc: „...podówczas rodzina moja dzierżawiła folwarczek tak zwany poduchowny”.

Na podkreślenie zasługuje na tle układu stosunków rolnych wsi ówczesnej, cierpiącej na nadmiar gospodarstw karłowatych, dalej podana informacja: „...rodzice moi byli zupełnie biedni, bo zeszli w końcu na włókowe gospodarstwo”.

Nic tedy też dziwnego, że w tym na użytek hrabiowski stylizowanym rodowodzie, pominięta została zaszczytna na wsi funkcja ojca — organisty i właściwe nazwisko Reyment, daleko po spolicie brzmiające przez jedną tylko głoskę od szlachetnych Eysmontów i Jamontów. Stary został bliżej nieokreślonym rolnikiem. Takimi rolnikami stawali się później dla odmiennych powodów, gdy przyznawanie się do ziemiaństwa nie pociągało, — ziemianie.

Cały przeto niesłychany awans społeczny Wł. St. Reymonta, pasujący go zgoła na amerykańskiego zdobywcę własnego losu, z czego można było w tych czasach czerpać wiele dumy i poczucia własnej wartości, woli zamienić autor Ziemi Obiecanej na wątpliwy zaszczyt powrotu na łono szlachetczyzny.

Ucieczka organistowskiego syna w dziedzinę fabrykowanego rodowodu ziemiańskiego, nie sposób bowiem przypuszczać braku pamięci u pisarza, który posiadał ją zawsze zdumiewająco wierną i gotową — świadczy najdobitniej o braku orientacji wśród zjawisk zachodzących w ówczesnej Polsce, o braku dostatecznej świadomości socjalnej, a nawet zgoła o wypieraniu się jej.

CHŁOPI, PIAST I WIERZCHOSŁAWICE

Dosyć osobliwie zbiega się to z wysiłkami Piasta, pragnącego tego pisarza uczynić sztandarowym reprezentantem chłopskości w kulturze polskiej.

Jak głosi tradycja literacka, dzięki zabiegom tego stronnictwa, mającego wtedy przemożny wpływ na życie państwowe, przy sprzyjających dla kandydata polskiego okolicznościach — Reymont, a nie Żeromski, uzyskał nagrodę Nobla, najwyższe odznaczenie, jakie spotkać mogło europejskiego pisarza. Ukoronowaniem tego hołdu był zjazd w Wierzchosławicach w r. 1925 mający związać pisarza z masami chłopskimi.

Otóż na kilka miesięcy przed tym zjazdem Reymont w liście do przyjaciela taką daje wykładnię projektowanej imprezy i taką mu wyznacza płaszczyznę ideową:

„Słyszalesz co Piastowcy urządzają na 15 sierpnia? Witos pomyślał tę uroczystość bardzo szeroko. Jak mi wczoraj doniesiono, zgłosiło się już z całej Polski 30.000 uczestników. Komitet głowi się nad opanowaniem tych mas i nad ujęciem ich w karby. Czy nie powinno to nabrać jeszcze szerszego znaczenia? Czy nie powinien się zrobić z tego zjazdu jakiś pro- i wszech-polski olbrzymi wiec? Pomyśl.

Myszę, iż byłaby to jedyna sposobność pogodzenia się wszystkich polskich stanów i zawiązania jakiejś świętej konfederacji trwania i obrony. Tak mi się to marzy. Co a ty powiesz?

Jak Warszawa przyjmuje te projekty? Inteligencja narodowa polska powinna

wziąć w tym udział, aby nadać większe znaczenie zjazdowi.

Pomyśl: dożynki w dzień Matki Boskiej Zielnej. Święto oracza! Święto pracy rolnej... obchodzone przez całą Polskę”.

Słowa te, jakkolwiek później pisane, stanowią istotny klucz do Chłopów.

Cokolwiek bowiem da się powiedzieć o akcentach społecznych w tej powieści wyrażających się przez odmalowanie różnorodnego układu gospodarczego wsi lipieckiej, przez ukazanie chłopskiego głodu ziemi, którą panowie sprzedają w niemieckie ręce, nad całością Chłopów unosi się symboliczny obraz śmierci Boryny, wiążącego się w chwilach ostatnich kapłańskim, obrzędowym ruchem siejby z matką-ziemią.

Dyskusja o gwarze

Czy gwara zaniknie?

Znany pisarz chłopski Antoni Urban zabiera jako drugi, po J. Pogonie, głos w sprawie gwary. Wzywamy wszystkich zainteresowanych do dyskusji!

1. Utrzymuje się gwara w naszych okolicach ale nie „zachowuje”, — raczej powoli zanika, chociaż lat 50 temu była w powszechnym użyciu. Przyczyny: naturalny postęp poprzedzony zdobyciami kultury i upowszechnieniem oświaty. Jest prawie pewnem, że przy rozszerzonym programie oświaty, ulegnie w niedługim czasie całkowitemu zanikowi.

Stosunek ludności do gwary jest taki, jak do każdej innej rzeczy zużytej, wleświechtanej. Ale naodwrot tak sam jest jej stosunek do zbytecznych zwrotów mowy potocznej, literackiej, nadużywanej aż do znudzenia w konwersacji towarzyskiej, referatach, przemówieniach i t. p.

2. Również i w literaturze uporczywie obstawanie przy gwarze nie rokuje wielkich szans tym literatom, którzy się nią posługują. Ciekawe, że czytająca ludność wsi i miasteczek małych uważa to za szyderstwo z niej. Mówią: dlaczego „oni” tak piszą, przecież na wsi już prawie nikt tak nie mówi.

3. Są jednak sytuacje, w których utrzymać gwara będziemy musieli. Dotyczy to przede wszystkim dokumentów historycznych. Nie byłbym za tem, aby utrzymać ją w poezji, w śpiewie, — ale da się ona utrzymać w opowiadaniu, powieści, w satyrze. Trudno będzie również wyrugować charakterystyczne przysłowia i nie ma potrzeby tego tępić.

4. Gwara utrzymuje się najwięcej w miejscowościach, jak to mówią, gdzie „świat deskami zabity”, gdzie nie ma prasy, książek, teatru, radia. Wielka tu rola inteligencji wiejskiej, czy to będzie nauczyciel szkoły powszechnej, czy pionier samouk wiejski. Te warunki działały bowiem na otoczenie wiejskie, jako wzór przyjmujący się do naśladowania. I napewno! Gdy zajdziemy do wioski odległej o złym stanie dróg, o jednej dwuklasowej „szkółce”, bez kościoła, — tam nasilenie użycia gwary jest większe. Więc napewno spodziewamy się, że o ile więcej szkół, więcej świetlic, więcej teatrzyków wiejskich, więcej bibliotek, stowarzyszeń i przede wszystkim dobrych bitych dróg wiejskich, elektryfikacji — tam zanik gwary jest szybki i prawie zupełny. Ale nie obawiamy się, że wieś polska za nią zapłacze, czy zatęskni, gdyż już dziś nie zabiega o jej los...

5. Gwara, jako język regionalny, z tego również powodu powinna zanikać, że musimy dążyć do zatarcia różnic dzielnicowych i utrzymującej się z tego powodu niesłusznej nienawiści, czy też ambicji wyższości. Daje się to zauważyć w środowisku mieszanym np. między repatriantami, gdzie często usłyszy się wyrazy ubliżające pod adresem „tutejszych”: „galilejusz”, „mazur”, „keizok”. A już takie słowa gwary: „pódy” miast pójdź lub chodź, „hajnok” miast tam, „moli” miast prędko i wiele innych nie zasługują na to, aby utrzymały się. Spodziewam się, że i redakcja „Wsi”, jako organ pisarzy wiejskich, nie będzie wprowadzać takich zwrotów i obstawać za ich utrzymaniem. I napewno nie zechce karmić czytelników lekturą przedwojennego stylu „Małka Bzdury” w wychodzącej w Krakowie „Roli” czy innych pism przed wojną.

ANTONI URBAN
wieś Luteza

Moment ten podkreślony jest przez autora wielokrotnie. Zacytujemy tu tylko scenę zbiorową:

„...Zgoła nabożna i święta cichość ogarnęła pola, jakby się rozpoczęło nabożeństwo w tym niezmiernym kościele. Naród w pokorze przywarł do zagonów, ścichnął i ze wzdychem serdecznym rzucał święte, rodne ziarna, posiewał trud na plenne jutro, matce ziemi oddawał się wszystkim i z dufnością”.

MITOLOGIA WSI

I tu właśnie docieramy do sedna społecznej wartości pisarskiej Reymonta. „Chłopi” nigdy nie byli i nie są już nie tylko dziełem organizującym świadomość chłopską, ale nie mogą mieć pretensji — mimo doskonałej znajomości szczegółów bytowania wiejskiego — do miana istotnego i wiernego jego obrazu. Być może, że na tym polegało zwycięstwo artysty, że szczegóły te zestroił w monumentalną, do rzeczywistości niepodobną całość — całość ta jednak żyje tylko prawdą artystyczną i to prawdą swej epoki, epoki Młodej Polski.

Tym się też prawdopodobnie tłumaczy niska popularność dzieła Reymonta wśród chłopów. To też chyba sprawia, że — jak Próchno Berenta — odchodzi ono coraz bardziej w cień.

Nie trzeba chyba dodawać, że zwycięstwo artysty w Chłopach okupione jest klęską pisarza o walorze społecznym, będąc potwierdzeniem ogólnej opinii, że nie miał on nigdy danych do tej roli, choć nie zbywało mu na usiłowaniach i ambicjach w tym kierunku.

FIKcje I RZECZYWISTOŚĆ

Tak jak wstydlive według niego partie swego życiorysu — przesłaniał Reymont również wieś szeregiem snobistycznych fikcyj, głosząc na kartach swej powieści szczególnego nabożeństwa solidaryzm narodowy, a starego Borynę czyniąc uczestnikiem powstania 63 r. Dziwne chyba conajmniej się widzi, gdy się wspomni, że wójtowie i sołtysi tamtych okolic na powitanie Prezydenta Rzplitej odwiedzającego tamte strony przystroili się w odziedziczone i własne carskie orderzy „za usmienie polskawo miastie-za” i trzeba było aż te blachy wymienić na pięknie wyglądające żetony — bodajże — Ligi Morskiej i Kolonialnej.

Dziwne chyba, gdy się wspomni, że wśród ludu tamtych okolic żyje pamięć chłopów wieszanych przez „polskich powstańców”.

Dążność do mitologizowania chłopstwa jeszcze dobitniej zaznacza się w historycznej trylogii Reymonta „Rok 1794”, gdzie Kościuszkę, twórcę uniwersału polanieckiego w ten sposób patrzy na kosynierów zebranych w obozie tynieckim:

„...te paroby prosto od pługa i wideł, zalutujący gnojem i kożuchami dawali mu obraz jakowychś wojów homeryckich. Grała w nich tak samo burzliwa, dzika krew i rozplamieniały żądze przegód i nadzwyczajnych przezwag, a zarazem pełni byli jakowejś dostojności, powagi, przystojnych manier, delikatności i niepohamowanej zaciętości. A pod tym wszystkim gorzała potężna żarliwością wiara w niego, w jego obietnice i w tę nową, przyszłą Polskę, jaką im ukazywał”.

Inną fikcją tego typu jest w przedstawieniu Reymonta wysoka wartość etyczna środowiska wiejskiego zestrojona z ogólnie podniosłym i budującym tonem Chłopów, a nie licząca się z faktami.

Wprawdzie Księstwo Łowickie pod wieloma względami było rzeczywiście rzadkim rezerwatem anachronicznego stylu życia w środkowej Polsce, ale to, co z wsi księżackiej uczynił Reymont, było rezerwatu tego gloryfikacją (chwalbą). A przecież rzeczywistość nakazywała raczej tę faktycznie jedną z najbardziej zacofanych wsi wyzwolić z zakłętego kręgu kolorowych złud, ośnających ciemnotę, chęłactwo, brud i ciasnotę umysłową.

DZISIEJSZE LIPCE

Dzisiejsze Lipce, Lipce już przed wojną zorganizowane spółdzielczo, Lipce posiadające szkołę i dosyć zasobną bibliotekę, Lipce odróżniające się wyglądem chałup i porządkiem w obejściach, gospodarnością od tradycyjnie żyjącej sąsiedniej Stupi, Lipce nadążające wielkimi krokami za niedaleko leżącymi: Godzianowem i Głuchowem, przodującymi okolicy w postępie i organizacji — pewcy swemu nie mają nic do zawdzięczenia w tej dziedzinie.

J. A. KRÓL

Kierunek rozwoju teatru ludowego

(Dyskusja z D. Wierciochową i Z. Solarzową)

Artykuł Z. Kałużyńskiego pt. „Czy teatr ludowy się odrodzi?” drukowany w Nr 15 „Wsi” specjalnie poświęconym teatrowi chłopskiemu — wywołał, jak można było się tego spodziewać, żywy oddźwięk wśród działaczy oświatowych i organizatorów teatrów na wsi. Posyłały się do redakcji listy, zapytania, uwagi, projekty.

Z pośród tych listów wybraliśmy do przedstawienia czytelnikom i dyskusji — dwa. Uwzględniając one mniej więcej, powtarzające się u wielu autorów najważniejsze ich uwagi. Są to wypowiedzi działaczy oświatowo-teatralnych D. Wawrzykowskiej i Wierciochowej i Zofii Solarzowej. Tym cenniejsze, że już stanowią podsumowanie dyskusji, przeprowadzonych po artykule Z. Kałużyńskiego w gronie oświatowców i społeczników wiejskich.

RODOWÓD TEATRU

„Przed wszystkim — pisze Wierciochowa — musimy się zastanowić, co publiczność wiejska chce widzieć?”

Ten punkt wyjścia wydaje mi się arcytrafny. Wszak teatr stanowi jedną z postaci widowiska. W widowiskach wyraża się życie zbiorowe grup społecznych, a tym silniej w tej właśnie formie wyraża się wtedy, gdy: skupiska grupowe są mniejsze, a o bogatszej i spójniejszej więzi.

W takim właśnie położeniu znajduje się wieś. Trudno nawet dziś jeszcze mówić o „grupie gminnej”, jako o środowisku np. wychowawczym. W dalszym ciągu główne sąsiedztwo w granicach wsi urabia i normuje bieg życia każdego chłopca. Małość liczebna gromady, brak styczności z grupami społecznymi innego typu, niski stopień techniki pracy i narzędzi produkcji rolnej, ubóstwo materialne i brak oświaty — sprawiają, że mimo intensywnego, bo opartego o osobiste kontakty współżycia zbiorowego, niewiele tu jednak odmian widowiskowego życia gromady.

Prawie cały obrót rozczłonkowanej, rocznej pracy chłopca — rolnika został od wieków wprowadzony w religijny obrzęd, a częściowo tylko w świecki, wyrażający się w „pańszczyźnianym” niemniej uroczystym holdzie. Dla wypoczynku i zabawy sceną stała się — karczmą, dla transakcji handlowej — rynek targowy.

Ten stan przetrwał pod koniec 19-go wieku, czego wymowne świadectwo dają jeszcze pamiętniki Słomki i Magrysia.

W ostatnich jednak latach minionego stulecia, w rezultacie uwłaszczenia z pańszczyzny, zaczyna się rozwijać własne, uniezależniające się życie społeczne wsi. Znajduje ono wyraz w politycznym ruchu ludowym. Na scenę obiera sobie — dom ludowy, zwolna rugujący karczmę i jej dawną funkcję społeczną. W międzywojennym dwudziestolecu ugruntowuje się organizacyjne życie młodzieżowe. Tak przybywa nowa scena: świetlica.

OD KOŚCIOŁA DO ŚWIETLICY

Myliłby się, kto by sądził, że mamy do czynienia z prostym tylko z bogaceniem scen i form widowiskowego życia gromady. Ważniejsze tu staje się zagadnienie walki o wpływ i znaczenie dawnych rodzajów życia zbiorowego z nowymi.

Bo droga od kościoła do świetlicy znaczy tyle — co: kościół czy świetlica? Zastrzegam się, że wymieniam te nazwy w znaczeniu ośrodków widowiskowych. Na czym tedy polega różnica między tymi ośrodkami? Na tym, że w pierwszym decydujący jest sposób porozumiewania się ustny, w drugim pisany. Świetnie to uchwyciła Wierciochowa. Na niepokój Z. Kałużyńskiego, wyrażony wobec braku nawet po wielu miesiącach żywej iniekcji wyższych ośrodków organizacyjnych i wychowawczych teatru ludowego — odpowiedziała wskazaniem świetlic młodzieżowych. Ich istnienie gwarantuje rozwój teatru ludowego.

„Właśnie w świetlicach rodzą się i rozszerzają nowe formy teatralnego wyżycia się młodej wsi... Przy tych zajęciach: głośniego czytania, żywych gazetach, zespołowych recytacjach i inscenizacjach słów, przysłów, wierszy, pieśni, nowel, fragmentów powieściowych”.

**

Kościół był pierwszą instytucją, która przed stuleciami wniosła na wieś nowy bogaty układ widowiskowy. Układ ten przyjął się dlatego, że: po pierwsze, przystosował się do pierwotnych, rytmem przyrody określonych form wczesno-rolniczego życia wsi, po drugie dlatego, że na ówczesnym poziomie wiedzy technicznej magiczne zaklęcia stanowiły tej techniki część poczesną, a zaklęciami były właśnie religijne formy obrzędowe. Po trzecie wreszcie dlatego, że dla upośledzonej społecznie wsi stanowiły one wyższe uzasadnienie jej położenia, co łagodziło wówczas zbiorową tragedię i dawało wyrównanie w obrazie lepszego świata, który czeka po śmierci.

To co pociągało w widowiskach kościelnych, było uzależnione historycznie od braku zmian w technice pracy chłopów i stosunkach społecznych.

To też nie dziwne, że zniesienie pańszczyzny stało się początkiem przewrotu. Wraz z powstaniem chłopskich partii, obserwujemy jako jeden z objawów wyzwalania się — wraz z rosnącą społeczną niezależnością warstwy chłopskiej — żywiołowy atak jej czołowej grupy na tak zwane „dewocyjne pozycje klerykalizmu”. Oburzenie przeciw naiwnej wykładni i symbolice kościelnej — jak straszenie piekłem, jak posługiwanie się figurami: diabłów, owocu zakazanego, rajy aniołów itp. uderzyło w pierwszym rzędzie w elementy widowiska religijnego: w kościele (szopka), w polu (obrzędy polne) i domu (np. obrzędy świąteczne).

Siłą, a jednocześnie słabością tego widowiska, jest naczyniowa grupa wiejska religijnie, jest jego tradycyjność. Siłą — moc narzucania się utrwalonego wzoru słabością — jego skostniałość i z czasem zanikająca użyteczność.

Powtarzam — tylko przy niezmienności społecznej i gospodarczej wsi mogłaby w granicach tego rytuału wytrwać nadal. A niezmiennosc kultury wymaga, aby sposób przekazywania widowiska pozostał ten sam — ustny. I tak było, co w skutkach doprowadziło nie do rozkwitu form, ale ich zubożenia w czasie. Niedawno we „Wsi” pisał J. Sztudynger o doszczętnym zaniku ludowego widowiska wiejskiego — pozostała tylko radośniejsza i zabawniejsza szopka bożonarodzeniowa.

**

Inny jest rodowód świetlicy, jako nowej sceny widowiskowej. Życie organizacyjne młodzieży wiejskiej, rozwija się w oparciu o treści kulturowe szerszych grup społecznych — narodu, Europy i całego cywilizowanego świata. Tutaj kultura przekazuje się z pomocą: radia, książki, gazety, prelegenta i wycieczki. Świetlica stała się tedy miejscem zdobywania wiedzy, i to rewolucyjnego zdobywania, dzięki sposobowi przekazywania piśmennemu, nie ustnemu, jak w grupie religijnej! Jakże znikomą okazuje się w obliczu tej instytucji cała tradycyjna mądrość najmłodszych chłopów z matecznika rodzinnej wioski. Dowiaduje się tu młody chłop, że w ciągu paru lat można przyswoić sobie ogólną znajomość potężnego dorobku cywilizacyjnego i kulturalnego całego świata w jego długiej historii.

Tu młodzież wiejska przekonywa się, że istnieją dalsze sposoby podniesienia znaczenia społecznego wsi i poprawy jej materialnej doli. Do pierwszego prowadzi wiedza humanistyczna, do drugiego — techniczna. Świetlica staje się więc nowym narzędziem rozpoczętych przed stu laty przemian wsi polskiej. Na tym polega jej społeczna rola.

Świetlica staje się sceną dla życia zbiorowego, zaspakajającą — historycznie rzecz biorąc — współczesną potrzebę wsi.

Nie może więc tu być mowy o takim układzie rodzajów widowiskowych, któryby się dał wyrazić w zwrocie: świetlica obok kościoła.

OBRZĘDOWE I NARODOWE

Po dokonanych rozszerzeniu i uwyrażeniu znaczenia praktycznej obserwacji Wierciochowej — zrozumiałą i słuszną stanie się dla — jednej strony jej obrona obrzędowego teatru ludowego, z drugiej jej zdecydowane żądanie aby „teatr ludowy czerpał treść widowiskową nie tylko z przeszłości i teraźniejszości samej wsi, ale i z życia ogólnonarodowego”.

Jak i dlaczego broni Wierciochowa teatru obrzędowego?

Powiada: „Faktu historycznego nikt i nic nie zmieni. Pańszczyzna była i chłop żył pod nią jak mógł i jak umiał. Tworzył też wtedy takie formy teatralno-obrzędowe na jakie mu warunki pozwalały. Czasy się zmieniły a z nimi obrzędy, co więcej sakralnie miejsce wielu z nich zajęły po prostu formy świeckie. Ale właśnie dlatego należy zachować ów dawny teatr, bo ma on dla nas wartość:

po 1. jako minijony dorobek artystyczny ludu
po 2. jako dokument różnych etapów historii chłopca,
po 3. odgrodzić się możemy od jego szkodliwego wpływu wychowawczego przez stosowanie przed widowiskiem omówień choćby naukowych, określających go historycznie, społecznie, gospodarczo itd.

po 4. daje on młodzieży możliwość zestawienia i porównania przeszłości chłopskiej z teraźniejszością.

Cierniakowski „obrzędowy” teatr otwiera w ten sposób perspektywę historyczną. Dystans wobec minionego, a w tym chyba nie ma wykroczenia przeciw ideologii demokratycznej.

Solarza, który odznaczał się od klasowo-kulturalnego stanowiska chłopów, ale wołał „O MIŁOŚĆ DO WŁASNYCH CHŁOPA SKARBOW” należałoby — moim zdaniem — tak właśnie rozumieć”.

W zgodzie z obroną teatru obrzędowego jest i druga napozór przeciwna teza Wierciochowej. Mówi ona: „z większą częścią narodu, jaką stanowi wieś, należy się odpowiednio liczyć, dlatego nie wolno chłopca zanurzać w klasie, nie wolno tworzyć nieprzekraczalnych granic dla kultury artystycznej chłopskiej, ale rozszerzać chłopski horyzont umysłowy, uczuciowy i artystyczny, tworząc w tym materiale nowe zarysy kultury narodowej”.

NOWE ROZŁOŻENIE WPŁYWÓW I ZNACZEN

Kiedyś teatr chłopski mieścił się bez reszty w widowisku religijnym. Tu zaspakajała gromada tęsknoty mistyczne, tu znajdowała rozrywkę i olśnienia pięknem, tu wreszcie — społeczne ukojenie. Ten stan rzeczy nie utrzymał się. Co pozostało widowisku religijnemu? Tylko jego uskrótnione znaczenie mistyczne. To nawet szopki gwiazdździarzy czy „Pastorałka” Schillera budzą w nas nie tyle wiarę w „objawione” ile ludzkie zadowolenie z form, które kołowrotom corocznymi wracając, zapowiadają kilka przyjemnych sąsiedzkich i rodzinnych dni.

Mistyczny sens religijnego teatru odziedziczyły raczej widowiska legendarne. Nawet nie wierząc w Boga, erzy się jeszcze dziś w plemienne posłannictwo mistyczne. Hitlerizm potrafił rozpalic lucyferowy ogień iszczenia przez odwoływanie się u junkrów i drobniemieszczan do wierności pragermańskiej najeźdźczej złości, a chłopów do wierności „Blut und Boden”.

Dlatego podwójnie słusznym jest trzeźwy stosunek Wierciochowej do obrzędu teatru ludowego, klechd i leśni. Trzeba się strzec, aby z tego co kiedyś było historyczną formą dawania sobie rady z onegdajszą rzeczywistością społeczną, nie nabrało dzisiaj wagi bałanmutnego objawienia. Postawa historyka, jaką proponuje Wierciochowa, nie tylko nas uchroni przed wiarą w mity, ale ta postawa dopiero pozwoli zachować (spisywanie pieśni i podań) ginące okrucy z wczoraj, a nasza rosnąca wiedza pozwoli je oprawić artystycznie — aby odtąd obcować nie z wiarą w ich treść mistyczną, ale z przekonaniem o ich pięknie, którego blask potrafimy odświeżyć zawsze tak, aby nas współcześnie zachwycił.

Obejście inscenizowanie przysłów i powieści — trzeba o tym pamiętać — jest już stylizacją, które bierze początek z koncepcji intelektualnej — świetlicowej, książkowej wiedzy — nie z szczerej wiary w ich obrzędową treść.

Tu błąd zaczyna nowe świeckie źródło estetycznej ekspresji teatralnej.

Wierciochowa bardzo silnie podkreśla potrzebę teatru rozrywkowego. Jest to bardzo celowa tendencja, posłużyć powinna do uratowania młodzieży od jednego z narkotyków jaki dawało dawniej widowisko religijno-mistyczne.

Chłop pańszczyźniany, wierząc w duchy, obrazem nieba raczył się jak premią pocieszenia. Życie jego było przegrane i odbić je sobie tylko mógł w wyobraźni, jej ułudami zastępując nikczemne życie. Otóż rozrywka po ciężkiej pracy jest podobnym wyrównaniem, ale nie ma w niej jadowitego żądla, któreby paraliżowało w chłopie energię do przebudowy swego życia, do polepszenia, do walki o słuszne prawa.

Tak więc teatr społeczny stał się przeciwieństwem obrzędowo-religijnego. Bo kiedy tamten zgadzał się na niedolę, niewiedzę, zapóźnione formy gospodarze i wsteczne obyczaje wsi, ten stawiał ją, dobrobytu i oświaty jako środków używa treści, które wskazują na drogi postępu cywilizacyjnego i kulturalnego, po jakich wieś powinna pójść.

NIE WSZYSTKO RAZEM

Zofia Solarzowa pisze: Na wsiach grywają od dawno dawna rzeczy takie jak:

„Stowo o Jakubie Szeli” — Jasińskiego,
„Kordian i Cham” — Kruczkowskiego,
„Orka na ugorze” — Wiktora,
„Silaczka” — Żeromskiego,
„W Rostokach” — Orkana,
„Komornicy” — Orkana,
„Na nową Perć” — Kubińca,
„Cham” — Orzeszkowej,
„Dobra Pani” — Orzeszkowej,
„Nowele” — Żółteńki,
„Pogodki góralskie z żywca” — Zaremby
bardzo wiele rzeczy podobnych i innych. Grywają rzeczy własne o tym, co wieś sama robiła, więc: „Spółnielna Zdrowia”, „Dziecimie”, „Budowa Gackiej Górki” — to inscenizacje własne.

Czy jeszcze mało dowodu na to, że był i jest w Polsce teatr chłopski żywy, społeczny i bogaty?

(Dalszy ciąg na str. 6-ej)

G. TIMOFIEJEW

Zeromski wobec ludu

W dwudziestolecie śmierci wielkiego polskiego prozaika, który wywarł decydujący wpływ na poglądy minionego i dzisiejszego pokolenia, przypominamy jego stosunek do sprawy chłopskiej. Nieuścisłość, niechęć, ostrość zeromskiego, były rezultatem historycznego położenia wsi polskiej, położenia, które bezpowrotnie minęło. Ale ciągle żywa jest jego litość dla nędzy i zrozumienie gorzkiej twardości chłopskiego życia.

WSPÓŁCZUCIE ŻEROMSKIEGO

Zeromski litował się nad dolą pogrzebianego wiośniactwa, doceniał wagę problemu chłopskiego dla narodu i państwa. Rozumiał, że nieudźwignione przez szlachtę winy przywałyby zmartwychwstającą ojczyznę grobowym kamieniem. Ciężar ten leżał mu na sercu, Zeromski rozpacział i łamał się w sobie, dając temu wyraz już w pierwszej książce. Ale poza ogólną troskę, współczujące zrozumienie dla sprawy chłopskiej, co zresztą ze źródła klęsk narodowych i miłości ziemi kieleckiej równie wynikało, — pisarz nie szedł. Stosunek Zeromskiego do chłopstwa waha się między współczuciem, przybierającym niekiedy formę bardzo żarliwą, a niechęcią i wprost obawą. Wydaje się, że pisarza straszy turoń duszy chłopskiej

UJEMNY OBRAZ CHŁOPA W TWÓRCZOŚCI ŻEROMSKIEGO

Przyjrzyjmy się, chociażby pobieżnie, w jaki sposób przedstawia Zeromski chłopów, czy to jako masę, czy też jako poszczególne indywidualia. Poza „Słowem o Bandozie” bodaj tylko w dwu wypadkach trafiamy na idealizowanie ludu. W „Mogile” wyraża Zeromski przekonanie, że już tylko wśród wiośniactwa istnieje miłość Polski, „Ex tenebris lux luceat!” („Światło błyszczący w ciemnościach”).

Zresztą autor pokpiwa ze swojej sielanki, „Stał człowiek na przyzwoitym stanowisku klasowym, a teraz zaczynać biał w rachubę i mgliste przecucia bezklasowych chłopów”. Drugi wypadek w „Tu ronię”, w scenie, w której chłop Chudy przezwycięża w sobie zwierzę. Ale posiada to efekt raczej programowy aniżeli artystyczny. Te i parę innych przebiegów... Poza tym, co za sponiewieranie chłopomańskich ideałów! W „Rozdziobiu” nas kruki, wrony, chłop zjawia się jako szakał, w drugiej książce („Zmierzch”) przedstawia wszystkie niepowabne cechy przyziemności, tępoty i wiekowego zaniedbania. Każdy szlachetniejszy wysiłek idealizmu rozbił się o tę mroczną opokę, Dr. Obareckiego („Siłaczka”), „zetknięcie się bliskie z ciemną masą ludu... rozczarowało nad wyraz”. Tępotę, chciwość i bestjałstwo obnoszą typy chłopskie w „Syzyfowych pracach”. Wychodzą wiejski, Radek, wracając do swoich, „uczynał wstręt niewymowny”. Okrucieństwo wyrostków wiejskich odmalowuje Zeromski w „Róży”, ciemne wygrażające chłopstwo w „Wiernej rzece”. Obrzucają powstające obelgami, wygrażają mu pięściami. A Hubert Olbromski wspomina, jak chłopci zamordowali mu ojca: „Pił go żywego przetrzneli w pół, gdy przyszedł w tamte strony z dalekiej Francji bić się ostatni raz o wolność...”. Rozbestwiona Huszcza przewala się po kariatkach „Ponad śnieg” i „Turonia”. „Skończyło się wasze jasne pańskie panowanie” — wygraża młynarz Joachim. A Weronika mówi: „Zwierzęca podłość, nikczemność wszystkich zwierząt ziemi, wygubionych, wymordowanych, weszła teraz w serca ludu wsi...”. Tak wielka jest dla Zeromskiego potęga okrucieństwa, zasklepienia i ciemnoty, tkwiąca w masie chłopskiej. Wprawdzie, autor „Siłkowskiego” zdobywa się na pełne wyrozumienie: to pańszczyzna tak odplaca... „Nas sto razy zdradziła zdrada i oszukała oszustwo. To samo ojciec nasze, dziady, pradziady” — mówi żołnierz chłop w „Siłkowskim”) Ale nie potrafi obudzić w sobie wiary w lud. Mówiąc o egoizmie

zbożonych chłopów czasu wielkiej wojny, zauważa: „czy tylko poważne dla ojczyzny niebezpieczeństwo nie leży pod siermięgą”. W projekcie zagospodarowania odzyskanego kraju inteligencji i robotnikom przynajmniej największy głos.

W Sejmie „silną liczebną reprezentację chłopów — informuje Piótn Noyszewski („Zarys myśli polit. społ. Zeromskiego” str. 79) — uważa za zjawisko ujemne, gdyż twierdzi, że najczarniejsza, najniebezpieczniejsza jest reakcja chłopów posiadaczy kulkunastomorgowych”.

STOSUNEK DO ROSYJSKIEGO IDEALIZMU

Mając tedy tak negatywne wyobrażenie o chłopstwie, Zeromski i do ludowej literatury rosyjskiej ustosunkował się krytycznie.

Da się to stwierdzić na paru przykładach.

Daleki był od idealizacji ludu w stylu ros. powieściopisarza Turgieniewa. Różnicę tę spostrzegamy w sposobie potraktowania tego samego co u autora „Pamiętnika myśliwego” tematu. Otóż w zbiorze Zeromskiego „Opowiadania” znajduje się obrazek p. t. „Zapomnienie”, przedstawiający przyłapanie chłopca na kradzieży drzewa z pańskiego lasu. To samo czytamy u Turgieniewa w gałędzie p. t. „Odludek”. Oczywiście, kradzież drzewa jest to temat życiowy, choć w aurze, w opisach wreszcie „Zapomnienia” odczuwa się jakgdyby turgieniewowskie technienie — to też zaciekawienie budzi nie podjęcie tego samego wątku, ale opracowanie, z którego wynika stosunek do chłopstwa. Otóż gdy Turgieniew w formie jakby niewymuszonych wrażeń z życia chłopów, poczynionych w czasie polowania i wędrówki po wsiach, idealizuje lud i podnosi jego wartości duchowe, Zeromski wyraźnie unika sielanki, podkreślając jedynie moment krzywdy. Przyłapanie na kradzieży drzewa. Obala to nie jakiś wyposażony w idealną duszę bohater, lecz poprostu chłop, nielitościwie krzywdzony aż do zairaty swego człowieczeństwa.

EKONOMICZNE I MATERIALISTYCZNE POJMOWANIE WSI

Bo też w cenie chłopstwa wykazuje Zeromski duży krytycyzm. Jeśli podziwia co, to tylko tę pierwotną barbarzyńską bezlitość, jaka życie na wsi cechuje. Od wieków trzeba tu ziemię spychać, żelaztem i rękami rozdzierać, by nie stwardniała na kamień, by nie przywalała człowiekowi bezlitosnym ciężarem. W takich warunkach nie ma miejsca na łzę, to byłoby zbyt łatwe. Zeromski usiłuje uchwycić twardy sens życia chłopskiego i w tym bliski mu jest Gleb Uspieński, który w szkicach z końca 7 dziesięciolecia i później rzuca wiele celnych uwag na temat ekonomicznego rozumienia wsi.

W związku z ziemią, pracą na roli powstaje całokształt stosunków na wsi. Nad twardą ziemią, gorzkim urodzajem i wieczną troską kreślą się horyzonty prawnomoralne. Prawda, ziemia czyni chłopca surowym, nieraz okrutnym, życie wiejskie sprzeczne do zwierzęcego trwania, ale za to skupia wszystko, cokolwiek człowieka dotyczy, stwarza harmonijną całość jednostki z przyrodą.

Chłop — powiada Uspieński — postępuje, jak kaze mu ziemia. Zabija złodzieja, który mu skradł konia, lecz jest niewinny — bez konia nie może prowadzić gospodarstwa. Zmarły mu dzieci — nie jego wina, ziemia nie obrodziła, nie miał czym żywić... Na wsi człowiek żyje, słuchając potężnego zewu ziemi. A każda chwila, w której wypełnia rozkaz ziemi, przekształca się na pracę i organizuje życie.

Takie pojmowanie wsi nader bliskie jest Zeromskiemu. Już w pierwszych utworach przedstawia życie chłopskie w związku z ziemią i pracą. Tak je tylko najpełniej rozumie. Z wnikliwością

ujmuje odrębny sens losu chłopskiego. „Kto w jesieni — mówi w Pomyłkach — ziemię szturcha i kopie, gdy ona chce gnąć i kisać, kto rusza jej niezłomną spoiłość, gdy się zrasza w ugor, kto spycha wieczność z miejsca jej ciężar straszliwy, kto wywraca przemocą na nice jej potworną chęć spoczynku na zawsze, nie ma czasu na ostrzeżenie piękności jak my”. To też życie wiejskie nie jest dla Zeromskiego piękne, nie posiada żadnego czaru romantycznego, wyraża się całkowicie w dwu słowach — surowa rzeczywistość. Najbardziej prozaiczne drobizgi, szarość i obawy brutalnego materializmu układają się na samym dnie, rosną i wypełniają sobą treść każdego dnia, każdego roku, każdego wreszcie istnienia. Oto Cezary Baryka obserwuje życie chłopów na Chłodku: „Wszystko, cokolwiek (chłopi) mówili i czym się interesowali, zahaczało się o jadło i napitek, obracało się dokoła opału i odzienia, przeżycia zimy i przednówka, a doczekania drugiego lata. A na drugie lato i drugą jesień będzie znowu to samo: wyrobić, wydebić z okrutnej twardej ziemi tyle, żeby przeżyć całą zimę bez głodowania, przetrzymać przednówek — i znowu dalej do nowego”. Ale na tej twardej podstawie buduje się całokształt stosunków moralnych w życiu chłopskim, może okrutny i nielitościwy, ale jakże harmonijny i konieczny. Cezary — mówi Zeromski — „podziwiał tę barbarzyńską bełzność, która jest nieuniknioną ekonomią życia, życia takiego jakie jest na wsi”.

SPOŁECZNY I POLSKI PUNKT WIDZENIA

Lecz trzeba zauważyć, że ekonomiczne pojmowanie wsi wynika u Zeromskiego z obserwacji a równie przemyslenia warunków polskich. Od dzieciństwa spotyka się z biedą chłopską, i później widzi nędzę. Pobudzona wrażliwość notuje każdy szczegół. Jak dokładne, jak przeraźliwe są opisy wegetacji chłopskiej, porozrucane po dziełach czy listach pisarza! Grobowski stwierdza z tego powodu klasowość autora „Słowa o Bandozie”, a Z. Wasilewski zapytuje zniecierpliwiony, czyż nie ma w Polsce innych chłopów, wsi pracowniej a zamożnej. — Z drugiej strony moment materializmu ekonomicznego miał w Królestwie szczególne ważne znaczenie. Pojęli to już pierwsi socjaliści. W odezwie do towarzyszy rosyjskich z dnia 3 listopada 1881 r. grupa b. członków „Równości” i redakcja „Przedświutu” m. in. stwierdza: „Dziś, z powodu, że uwłaszczenie dokonane zostało przez rządy zaborcze, a nie nadane przez uprzywilejowane klasy Polski, włóścianie stali się tym wiek- zym przeciwnikiem nacjonalizmu, łącząc pojęcie o ruchach narodowych z wrogiem uczuciem, jakie dla swych ekonomicznych wyzyskiwaczy żywią. Poruszyć tę liczną masę polskiej ludności można jedynie w imię żądań ekonomicznych”. Zeromski zdaje się to rozumieć.

Jak powiedzieliśmy, stara się uchwycić właściwy sens życia chłopskiego. I odnajduje go — słusznie czy nie — w ekonomicznym materializmie, w namacalnej rzeczywistości. Stanowisko pisarzy, usiłujących wieś rewolucyjnie wyzwolić budzi w Zeromkim gorzką litość. Doświadczania własnego narodu, bezsilna i nicość chłopomańskiego idealizmu, z taką beznadzieją oddana w „Siłaczce”, uczyniły pisarza szczególnie ostrożnym co do wiary w popęd wyzwolenczy chłopstwa. A z drugiej strony czuje zbyt rzeczowo i nadto dobrze zna wieś, by tępotą i bezwład dźwigać za przykładem Tołstoja na piedestał. Burzy się i ostro zwalcza Tołstoja za jego hasła schłopenia. Zbyt jest w tych sprawach trzeźwy, by w sprostaczeniu widzieć jakąś mistykę. Cała praktyka tołstojska wydaje się być Zeromskiemu niezrozumiałą.

ZRÓDŁA NIECHĘCI ŻEROMSKIEGO

Pamiętać trzeba, że Zeromski wychowywał się w tragicznym cieniu 46 i 63 roku, i dojrzewał w przedburzy proletariackiej 1905 r. To też sympatie swoje i nadzieje zwraca od chłopów do robotnika. Jako mieszczanin i inteligent, autor „Ludzi bezdomnych” wiąże się z rozwojem miasta oraz ruchem robotniczym i snuje całkiem nową wiarę. Mianowicie, mówiąc o dodatniej sile postępu w Polsce, zauważa: „Takiej siły nie mogą posiadać nieoświeceni i z natury swej zasklepieni w sobie konserwatywni chłopi... Rola taką może spełniać z pożytkiem dla całego narodu tylko inteligencja pracująca pospół z proletariatem, zorganizowanym w związki zawodowe. Te dwie siły, dopełniając się stale wzajemnie, mogą stworzyć w Polsce czynnik górujący bezwzględnie i dążący stale szlakami wiecznego postępu”.

Jak widzimy, ostateczny wniosek Zeromskiego w sprawie chłopskiej ma brzmienie wybitnie ujemne. Lecz trzeba pamiętać, że podyktowała go pisarzowi uczuciowość typowego pogrobowca. Autora „Mogili” straszy ciągle widmo szakała, żerującego na trupach powstańców. Tego chłopca jak również i ciemnego zasklepienia, sportretowanego w tylu postaciach — Zeromski nie chciał dopuścić do równych praw w zagospodarowywaniu kraju.

Nie przewidział plonności swoich obaw, nie przewidział, że stan włóściański w Polsce odrodzonej zda swój egzamin obywatelski, podniesie się gospodarczo, kulturalnie i moralnie. Czy zgodziłby się na te zmiany? Żarliwa troska, jaka przejmowała Zeromskiego kwestia chłopska w Polsce, głębokie zrozumienie dla konieczności podźwignięcia ludu, podniesienia go do praw człowieka i obywatela — wszystko to pozwala wierzyć, że witalby nowych synów ziemi tak samo entuzjastycznie, jak wiał swego czasu inteligenta-prometeistę i opromienionego aureolą 1905 roku robotnika

Kierunek rozwoju teatru ludowego

(Dokończenie ze str. 5-ej)

„Wieś” nie chce go widzieć. Dlaczego? Prawdopodobnie dlatego, że jest niechętna oczywistej prawdzie o społecznej tężyźnie dotychczasowego, chłopskiego ruchu.

Stąd te sugestie o dotychczasowej pustce, i potrzebie stwarzania na nowo.”

Rejestr sztuk zacytowanych przez Z. Solarzową, stanowi jeszcze jeden dowód jak bardzo chłopski teatr społecznie usamodzielniał się, jak bardzo stał się świecki, jak sceną — organizującą gromadę wiejską na jego przyjęcie, może być tylko — świetlica młodzieżowa.

Ale przy tym rejestrze musimy wejść w spór z Zofią Solarzową.

Po pierwsze dlatego, że jest on „Od lasa do Sasa”, po drugie dlatego, że nie jest wyrazem „dotychczasowej tężyny ruchu chłopskiego”. Od strony repertuaru jest tu całkowite zapożyczenie u literatów-inteligentów. Brak twórczości społecznej chłopskiej, na „ruch” wyglądającej. Od strony reżyserii — jak pisał słusznie Z. Kałużyński — wychodzimy wprost z epoki obrzędowej — cierniakowskiej, która właśnie korzeniami tkwi w mistycznym widowisku religijno — legendowym.

I to jest trzeci powód dla którego „Wieś” rzeczywiście jest niechętna „takiej tężyźnie dotychczasowej”,

dlaczego przestrzega „przed pustką”, z niej wiejąca i wskazuje na potrzebę „tworzenia na nowo”.

Z Zofią Solarzową i D. Wierciochową rozchodzimy się dopiero w tym punkcie. Wierciochowa bowiem pisze: „nowy teatr chłopski problematyką swą obejmie i obrzędowy teatr Cierniaka i dekoracyjną „piękność” pawich piór” i tragizm dziejowy Szeli i bohaterские walki o wolność ojczyzny i „sobótkę” i baśnie i legendy itd...”

Na co się nie zgadzamy: na groch z kapustą!

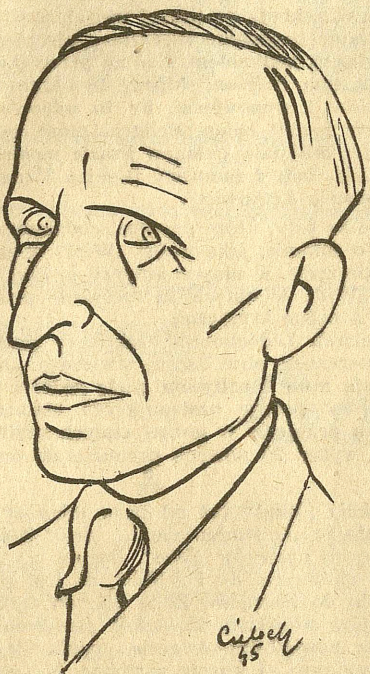
Obu działaczkom wydaje się, że kultura polega tylko na sumowaniu nowych, dochodzących pozycji. Otóż nie! Dowodziliśmy tego na przestrzeni całego artykułu. Obowiązują w kulturze rozgrupowanie i zaszerogowanie, aż do usunięcia pewnych składników, aż do walki z nimi. Dziś sytuacja wydaje się o tyle prosta, że świetlice z tytułu swej roli historyczno — społecznej odebrały teatrowi obrzędowemu funkcję rozrywkową, estetyczną i społeczną i z tej racji są czy hać, czy nie hać, w wojnie z mistycznym religijno — obrzędowym teatrem.

Przypuszczamy, że obie działaczki zgodzą się z nami i w punkcie ostatnim. Jeśli nie — prosimy o dalszą dyskusję

J. POGAN

BIEDNY I BOGATY

(Fragment z II rozdz. powieści p. t. „Ludzie pustkowia“)



JÓZEF POGAN

rys. St. Cieloch

Zaledwie świt nastał, już Kazimierz Tarczyk śpiący w kierunku Bosoniowej chaty. Za chwilę stanął pod jej drzwiami i pchnął je dłoń, lecz były jeszcze zamknięte. — O jucha, te dziady jesce gnio w łózkak — mruknął pogardliwie i zaczął pukać głośno i wołać: — Wstajojcie, śpiochy! Cóżście sie tak pozasipiali, hy?! Cóż was ta zaś fto pozarzynał?!

W izbie powstał ruch zbudzonych ze snu ludzi. — Ftoż ta?! — zawołała Magda i zarzuciwszy na siebie postrzępioną spódnicę wyszła do sieni odemknąć drzwi. — A cóż was tyz tak weas rano tutaj zynie? — zdziwiła się. — Tak to znou weas? Juz przecie wszedy ludzie wstajo. — A no, fto ta mo do cego, to niek wstaje, ale my po cóż bedymy sie śpieszyć?

E, przecie cheba kazdy mo po co wstajać, bo fto kce żyć na świecie, to i robić tyz musi — odpowiedział sąsiad wchodząc do izby. — Wdziewojcie portki — rzekł do Grzesia — bo myśle łake siec. Mozebyście przysli, to byście se co zarobieli.

Boson wzruszył ramionami. — Nie wiem, bom dopiero w nocy przyloz ze siecynio i kościska mie bolo, a i casu tyz ni ma.

— A cóż wy macie do roboty, hy?

— A zawdy jes co zepchnąć: to patyków uzbierać w lesie i uciupać, to zimnioki okopać i cejco.

— Patyków to by i dzieci uzbierały — wtrącił Tarczyk.

— Dzieci duza popro, ale cheba z miski. Zreść! Jaś musi koze paś, a Zosia chałupy i mniejsyk dzieci pilnować, bo my oboje podymy tyz zimnioki okopować.

— Kiej ni macie casu, to sie trudno nazywo — mruknął Tarczyk na pożegnanie.

Grześ wyszedł z nim przed chatę i zatrzymał go.

— No to póde.

— To pódzcie.

— No dobrze... póde... ale przecie... nie tak na głupio... Siela mi zapłacicie?

— Cy jo wiem...? Krzywdy wom nie zrobie. Pono od okopowania płaco po złotymu, to od kasy dom wom półtora. Myśle, zebyście mieli doś.

— E, mało. Od kasy na tylochny dzień to prawie trzy złote, bo pod Krakowym po tyła mi płaceli.

— Duza kecie. Nie obstate po tyła płacić.

— Co za duza? Od takiego harowania to nie strasygo trzy złote. Zreść! na takiego bogoca jak wy, to i piątka nie duza by było.

— Musiołbym cheba te piątki zbierać po drodze, aho w lesie grabić.

— Jo bym sie ta juz kciol kiej zakraś do wasy kase — rzekł Grześ żartobliwie.

— To byście anj tyle w ni nie znaleźli, co we swoi.

— Śmiecie sie z biedoka, ze na piniadzak lezycie.

— To i ty lygoj, dziadu, — pomyślał pogardliwie Tarczyk pytając: — No jak, pódzcie, cy nie?

— Za tyła — to nie. Jak mi docie trzy złote, to ide.

— Nie dom. Cóż to muse tak drogo płacić?...

— Jo tyz nie muse robic za byleco.

Tarczyk poszedł szybko, klnąc i pomrukując sam do siebie: — Dziad zatrzasył... Zryć — to by zar, a robić mu sie nie kce... Casu, psiokrew, ni mo!

Tymczasem Grześ pomógł żonie mleć, po czym rozpalil w piecu, a ona gotowała ranny posiłek. Wlała do garnka trochę mleka, dołala tyleż wody,

wsypała do tego nieprzesianą mąkę jęczmienną, gotując tak zwaną „papkę“. Tak przyrządzone jedzenie smakowało wszystkim. Ości jęczmienne nie nie szkodziły. Grunt tylko, by napchać żołądek. Dzieci łapczywie zjadały tę masę polykając pośpiesznie jedną łyżkę po drugiej. Rodzice jedli nieco wolniej.

W przeciągu paru minut opróżnili dwie miski i zdałoby się jeszcze drugie dwie, ale już nie było nic, więc poodkładali łyżki obliżując się apetycznie.

Po śniadaniu najstarszy synek popędził koze na paszę, młodsze dzieci zostały w domu, a Grześ i Magda poszli okopywać ziemniaki. Pole ich leżało obok Tarczykowej łąki, którą gospodarz kosił od rana.

— Scęś Boże — wyrzekł Grześ przechodząc obok niego.

— Dej Panie Boże — mruknął Kazimierz, nie uchylwszy nawet kapelusza.

— Darzy wom sie ta jako?

— A doś ta, Bogu dziękować — mruknął znów.

Bosoniowie zabrali się do okopywania ziemniaków, spoglądając co chwila na wysiłek kosiarza. A on kosił bez wytchnienia. Pot zalewał mu czoło, mokra koszula kleiła się do spoczonego ciała, lecz on jakby nie czuł zmęczenia — machał raz po raz błyszczącą kosą, zadając śmierć pachnącej zieleni i różnobarwnym kwiatom.

Za chwilę żona przyniosła mu śniadanie. Najprzód podała mu z miską kluski prażone dobrze okraszone słoniną, potem tłusty barszcz a na ostatku kawałek mięsa.

— Ino zjedz wszystko, zebyś mógł siec — zachęcała go. — Zesieces dzisiaj?

— Jużci moze zesiekie, a chociez sie umęce, ale nie dom trzy złote.

— Pewnie. Cheba, zebyś głupi był tak drogo płacić. Lepi mięsą zjes za złoty przy tym siecyniu i som zesieć, a dwa złote sie ostanie.

— A pewnie — przychwalił Kazimierz, biorąc do ręki kawał mięsa. — Lepi przejesz to, co sie mo bądź dziadowi dać od roboty.

— Chłopie, obroćcie sie głęba do nik i mięso tymoj wyzy, zeby widzieli, to im bedzie zadroś.

Kazimierz usłuchał żony i przybrał wskazaną pozycję. Bosoniowa widocznie dosłyszała słowa sąsiadki, bo spojrzała nieznacznie na jedzącego i zaczęła gderać pod nosem: — Święto prawda, ze bogoc to by od chytrności wnet spod siebie... zjod... Uoż yj no, chłopie, jak on sie to na złoś nom przekazuje z tym miesym.

— Pieś mu morde lizoł — odrzekł pogardliwie Grześ. — Niek zezre som i som zrobi, jak Parka gaduje. — Lezoł bede, a za półtora złotygo nie bede bogocowi tyłka ucieroł. Choroba, półtora złotygo mi dawoł na tylochny dzień.

Tarczyk zjadł prędko śniadanie i zaczął znów kosić. Uwijał się ile mu tylko sił starczyło, spozierając czasem ku okopującym sąsiadom.

— Niek widzo, dziady, ze sie bez nik obyjde — myślał dumnie. — Choć sie namęce, ale zrobie bez dziadowski pumocy. Prędy sie obyjde bez nigo, jak on bez mnie, bo kaz kupi złożo do zarcio?

Po paru godzinach nadmierny wysiłek zmęczył kosiarza, a w dodatku tłusty pokarm spowodował ogramne pragnienie. Więc odkładał co chwile kosę i chodził do strumyka pić wodę.

— Trudno bede mjoł zesieć dzisiaj te łake — szeptał sam do siebie. — Mozebym był lepi zrobieł, jakbym był najon tego dziada, to lym sie był tyła nie namęcył. Jakbym mu był obiecoł dwa złote, to by był przystoł, bo go bieda zwiero... Skoda, zem tak nie zrobieł...

Bosoniom nie dokuczało pragnienie, bo „ni miało po cym“, tylko głód. Przed południem czuli się tak osłabieni, że „jaz im nogi dygotały i ni mogli na nik ustoc“.

— Kiepsko nom jakosik idzie to okopowanie — wspominała Magda.

— A bo my słabi od głodu... Zeby to było kawoł chleba, to i okopowanie słoby lepi. Wtęcy my nie zrobiełi, jak za jednygo.

— Bo my tyz i za jednygo oboje zjedli

Jeszcze nie nadeszło południe, a już tak „bogoc jako też i „dziady“ odeszli od pracy bezsilni: pierwszego zmęczył nadmierny wysiłek i dokuczało pragnienie, a drudzy znów nie mogli wytrzymać głodu i osłabienia. Brak normy w pracy i w posiłku zemsicił się na nich i jeszcze przed południem spędził z pola.

— Ale sie tyz tyn Tarczyk przekazował z tym miesym jak zar — wspominała Magda idąc z mężem do domu. — On no ftoś nom tak robieł. Jak go ta nie ozerwało... Ale sie tyz nazar, nazar, a biedny człowiek to musi o głodzie łazić kieby jakie niecyje psisko. Po cóż tyz człowiek zyje na tym świecie, po

co! — jęła narzekać. — Chałupy ni ma jak trza, pola ino tako kiesecka i krowy ni možno na tym uchować, ino ledwie to rogate kozisko. Oj, Boze, Boze. — Dziękuj Bogu, ze sie chociaz to kozisko ostan — pocieszał ją mąż — bo już o ciut-ciut posłoby było na przednówek, ino całe soęście, zem zarobieł troche piniędzy.

Magda przestała narzekać i w milczeniu wlokła się do domu. Po chwili spytała męża: Kaz pódzies na złożym? Cheba do wsi, nie?

— No jużci.

— Tam byś moze pszynice kupieł.

— E, kiej pszynica drogo i jes sie po ni gorzy kce jak po zycie.

— A niekze ta, ale by my se chociez roz pojedli dobryk klusków, bo my ik moze juz kaj ze trzy lata nie widzieli. Aha, tyś jod na Krowodrzy — przypomniała sobie — ale jo? — to nie pamiętom.

Wtem na przeciw nich wybiegł najstarszy syn wołając z dala: — Pódzcie prędy, bo przysli jakieś dwa chłopy!

Pośpieszyli się, a gdy zaszli do domu, zastali tam sołtysa z sekwestratorem. Mniejsze dzieci siedziały cicho wtulone za piecem.

Bosoniowie stanęli przy drzwiach i jak obłąkani spoglądali na urzędników. Sekwestrator wypełnił zarządzenie egzekucyjne, po czym oznajmił: — Dwaraście złotych, pięćdziesiąt groszy podatku.

— Panie, jaz tyła...? — wykrztusiła zdrtwiała Magda

— Tak, tyle, ponieważ nie zapłaciście w przepisowym terminie, więc przybyły kosztu egzekucyjne. Płacicie?

— Nie, wielmożny panie, bo ni ma piniędzy.

— Samiście se narobili tyk kostów — tłumaczył sołtys. — U mnie bylibyście zapłacili trzy i puźlotygo z cały morgi, a tak, to: półtora złotygo upomnienie za podatek skarbowy, półtora za gminny, półtora za drogowy, to razym pópjeta, a drugie pópjeta znou za dzisiejsze przyjsie do was.

— Płacicie? — spytał poborca po raz drugi.

— Mój złoty, święty panie, ni momy pinedzy.

Godom, jak na spowiedzi, ze anj grosicka ni momy. Sekwestrator wyszedł z izby i zajął do chlewika.

a wróciwszy rozkazał sołtysowi zajmować koze.

Grześ zblił kieby ściana. Zrobiel się jak trup. Widziało mu się, ze go ftoś młotkiem dzielił w samo ciemie. Kciol coś przepedzieć, ale ni móg. Zaś Magda wybuchnęła rozpaczliwym płaczem, zniżając się do kolan poborcy. Jednak nic nie pomogła jej prośba i straszny lament.

Urzędnik był nieubłagany.

— Sołtysie, zabierac koze — rzucił krótko wychodząc z izby.

Zrozpaczony Boson doszedł do ściany, gdzie za starym obrazem schowany był węzelek z ciężko zapracowanymi groszami, a wydobywszy go, rozwiązał i podał pieniądze poborcy mówiąc: — Panie, tyła wszycik piniędzy przy moi duszy, com sie pozycyl na zboze do jadła.

— Aha, teraz się znalazły, a przed chwilą to nie było — mruknął gniewnie sekwestrator licząc pieniądze. — Jeszcze pięćdziesiąt groszy. Proszę dopłacić.

— Wielmożny panie, choćby nom pon głowy porzynał, to juz ani grosicka ni momy — wyrzekła płaczliwie Magda. — Mnie to nie obchodzi, proszę dopłacić.

Grześ zwrócił się do sołtysa z prośbą o pożyczanie groszowej sumy. Pożyczył mu mówiąc: — Nycie, bo mi jaz serce ścisło od zolu, ze wasa baba tak płace.

Poborca wypełnił kwit i poszedł do następnego dłużnika.

Magda załamywała ręce z rozpacz i płakała, a Grześ ją pocieszał: — Babo, a cihojze, bo ci plac nie nie pumozie... Darmo i trudno...

Ale ona nie dała się pocieszyć. — O Matko Bosko, a có: my tyz teroz bedymy jes z tymi dzieckami, co?!!! Poumieromy juz od głodu...! Jakes te piniadze czwiazował z węzelka i dawoleś tym diablowi, tom sie kciola od zolu z kupy oznuć... Tyłaś sie narobieł na to kosą, mój Boże, mój Boże!!!

Tego dnia Bosoniowie nie nie robili, tylko siedzieli zasmuceni. Dzieci płakały i tuląc się do matki prosiły jeść, lecz ona odpychała je od siebie: — Jeście mi, raki spokój, bom juz ledwo żywo.. Zdychojcie razem ze mną od biedy!...

Głodne dzieci płakały co raz bardziej, więc Magda poszła jeszcze raz do Bylskiego, pożyczyla trochę zboża i ugotowała skromny posiłek. Sama nie jadła nic, bo by jej przecie „od tego zolu nie przełaziło do garła“. Grześ „tyz ino troske skłapył, bo i on był stropiony“. „Ozmysłował se“ o tym, ze jutro musi pędzić koze na jarmark.

FAKTY I ZDANIA

Pisarze chłopscy u Prezydenta Bieruta

Prezydent Krajowej Rady Narodowej Bolesław Bierut w dniu 29 listopada przyjął delegację Związku Zawodowego Literatów Polskich — oddziału pisarzy chłopskich w osobach: M. Kubickiego, J. Mortona, A. Olchy, St. Pietaka, J. A. Króla, Z. Kałużyńskiego. Delegacja scharakteryzowała cele i zadania grupy pisarzy chłopskich.

OPIEKA NAD MŁODYMI PISARZAMI

Grupa pisarzy chłopskich chce specjalnie zająć się młodymi talentami wiejskimi, pomóc im w rozwoju, wyszukiwać nowe zdolności — pokierować w miarę możliwości odpowiednimi akcjami kulturalno — oświatowymi na wsi, zmierzającymi do pobudzenia i pogłębienia zainteresowań estetycznych chłopów.

Poszczególnymi momentami tej akcji będzie ułatwienie młodym talentom przechodzenie do odpowiednich szkół literackich, czy o innych specjalnościach artystycznych, organizowanie widowisk — imprez teatralnych w skali masowej, bo jeśli chodzi o sztukę aktorską, to lud polski jest w tym kierunku specjalnie uzdolniony — następnie realizowanie popularnych wydawnictw dla wsi, jak np. kalendarzy chłopskich, któreby były najbardziej przydatne, a zarazem utrzymywane na wysokim poziomie rzeczowym i estetycznym.

APOLITYCZNOŚĆ

Grupa pisarzy chłopskich chce dać możliwość korzystania z organizowanych przez siebie ułatwień i pomocy każdemu synowi chłopskiemu, rwącemu się do wiedzy i kultury, bez względu na jego aktualną przynależność partyjną. Oddział literatów wiejskich — niezależnie od niestępliwie demokratyczności swoich poczynań — pragnie trwać przy wyraźnej apolityczności ruchu i opierać się będzie na takich organizacjach bezpartyjnych na terenie wsi, jak np. Związek Samopomocy Chłopskiej.

ODPOWIEDZ PREZYDENTA BIERUTA

Prezydent Bierut po wysłuchaniu wyjaśnień delegacji wyraził pogląd, iż zawiązanie się grupy pisarzy chłopskich, chcących swoim doświadczeniem i nabytą już wiedzą pomóc wsi w jej dążeniu do pełni współudziału w życiu kulturalnym i artystycznym — może być pożyteczne. Działalność takiej grupy nie musi być związana z działalnością jakiejś partii.

Pisarze chłopscy, chcący być wyrazem życia wsi polskiej, mają obecnie wdzieczne zadanie do spełnienia. Dotychczas nasza literatura piękna nie była przeznaczona na użytek pracujących mas chłopskich, czy robotniczych — prosto dlatego, że była niezrozumiała — zajmowała się sprawami zupełnie nie warstwy nieobchodzących.

LITERATURA PRZED WOJNA

Literatura, sztuka służyła bardzo często wyszukanyemu kaprysom i dąsom nieproduktywnej, rozpróchnionej klasy posiadającej. Chłop i robotnik pojawiali się w takich utworach najczęściej jako postacie komiczne. — Zagadnienia społeczne, zagadnienia postępu były skrajnie pomijane, gdyż niechętnie je przyjmowali ci, którzy byli jedynymi w zasadzie odbiorcami sztuki i których gustem twórcy, chcący być „wziętym” starał się przypodobać.

To skierowanie swojego dzieła pod adresem jednej tylko klasy społecznej i to klasy możej, w ten czy inny sposób uprzywilejowanej — można dostrzec przy bliższej analizie w utworach wielu naszych pisarzy. Wytworzyła się literatura nazwana mieszczańska, gdzie motywy powikłań erotycznych wśród bohaterów, bohaterki, najczęściej w formie trójkąta małżeńskie — był osi, około której obracały się zdarzenia. Klasa posiadająca problemów społecznych w sztuce oglądać nie chciała, gdyż te rzeczy jej nie obchodziły, dla niej sprawy społeczne układały się ku zadowoleniu.

ROLA PISARZA W NOWEJ POLSCE

Obecnie Polska po przeprowadzeniu szeregu reform niezbędnych do dalszego szczęśliwszego rozwoju kraju, przedstawia swoje życie społeczne. — O obrazie tego życia nie będzie decydował już ani właściciel dworu, ani właściciel fabryki czy banku, decydują nie pasażerzy, korzystający z owoców czyjejś pracy i chronieni przywilejami, a tylko ci, którzy są istotnymi wytwórcami wartości: robotnicy, chłopci, pracownicy umysłowi. Literat nie musi już pisać dla pasażerów, dostosowywać się do ich światopoglądu, gustów i smaku, być czymś w rodzaju błazna, któremu za jego sztuczki rzucają pieniądze — może właśnie tworzyć szczerze, najgłębiej dla ludzi pracy, dających w swoim trudzie do dobra ogólnego, do postępu ogólnego.

Niech pisze, niech mówi śmiało, jak najśmiało, niech wstrząsa naszymi sumieniami, naszymi sercami, niech nam wskazuje nasze błędy i nasze sukcesy.

Pisarz, który jest grzeczny i ogląda się za aprobatą, nie stanie się tym, który zdobywa nowe drogi dla ludzkości, prowadzące do nowego etapu doskonałości się powszechnego. — Wielkie rzeczy, jakie przeżywamy, ogrom przemian i przedstawień społeczno — gospodarczych stały się przecież kapitalnym i pociągającym tematem dla pisarza. Przed pisarzem stała wspaniała widoków badań, obserwacji, dociekań nad duszą ludzką, nad grą sił w życiu człowieka, w jego życiu zbiorowym, badań nieograniczonych żadnymi względami, ani przeszkodami ze strony czynników, dla których prawdziwa zdobycz twórczej myśli ludzkiej może być niewygodna, może być niebezpieczna.

ROLA IDEOWA GRUPY

Założeniem ideowym grupy nie jest tworzenie jakiejś odrębnej, klasowej kultury chłopskiej i uparte przeciwstawianie jej kulturze innej np. robotniczej, czy pracowniczej, gdyż kultura demokratyczna należy rozumieć, jako pewną wspólną celowość, ogarniającą wszystkie warstwy świata pracy. Pisarze chłopscy, związani pochodzeniem ze wsi, znający jej życie, potrzeby, smutki i radości, chcą traktować siebie jedynie, jako przedstawicieli — uprawnionych dotychczasowym dorobkiem i jego treścią ludową — do reprezentowania właśnie potrzeb wsi na odcinku kulturalno — artystycznym.

W tych właśnie swoich planach i zamierzeniach kulturalnych, obliczonych specjalnie na użytek wsi — grupa pisarzy chłopskich, składająca się z osób o zdecydowanych zasadach demokratycznych i wypróbowanej wierności dla demokracji — rozmyślnie nie chce kierować się względami na interesy tej czy innej z pośród istniejących partii.

Z tego tytułu grupa pisarzy chłopskich często atakowana jest z prawa i lewa za niedość wyraźne zdecydowanie się co do linii politycznej swojej działalności. Mimo to działalność takiej grupy nie może być związana z działalnością jakiejś partii. Pracować na rzecz demokracji — na rzecz podniesienia poziomu życia szerokich mas ludowych można w wielu różnorodnych formach. Zbliżanie rzesz chłopskich do sztuki, kultury i wiedzy — przeprowadzane w szczerych intencjach służenia istotnym w tym względzie interesom ludowym będzie jedna z takich form.

Na Zaolziu coraz ciemniej

W tym samym czasie, kiedy Rząd Jedności Narodowej wręczył przez swojego posła w Pradze Wierbłowskiego notę w sprawie dalszego współzycia dwóch bratnich narodów słowiańskich, nikt nie przypuszczał, że za kilka dni po wręczeniu noty, rozpocznie się skoncentrowany atak czeski wymierzony przeciwko Polakom na Zaolziu oraz, że pewne czeskie odłamy prasowe zaczną jakby umyślnie swa antypolską kampanię.

Podczas kiedy na Zaolziu rozpoczęto w szeregu miejscowościach przeprowadzać nagminnie rewizje policyjne pod pretekstem szukania u Polaków broni i polskich książek, to równocześnie czescy szowiniści w rodzaju takich jak znany czeski germanofil, poseł Franciszek Uhlirz, wnoszą w „demokratycznym” sejmie czeskim interpelację przeciwko wznowieniu czynności polskiej „Macierzy Szkolnej” na Zaolziu, chcąc na modłę germańską, stworzyć z polskiego szkolnictwa jedno wielkie cmentarzysko. Jednocześnie takie pismo, jak dziennik czeski wychodzący w Cieszynie Zachodnim pt. „Těšlinské Noviny”, zamieszcza umyślnie tendencyjne mapy, na których celowo zamieszcza wspólne oznaczenie „Niemcy i Polacy”, aby wywołać wrażenie, że Niemców na Zaolziu jest więcej niż Polaków. Do tego zdolny jest dziennik czeski, który dopiero w roku 1945 zaczął wychodzić w Cieszynie, gdyż do tego czasu nigdy żadne czeskie pismo w tym mieście nie wychodziło. Ale i prasa praska, jak „Svobodny Zitrzek” (Wolne Jutro” z dnia 29 listopada br. w numerze 9) — zamieszcza tak samo artykuł wspomnianego już czeskiego germanofila Uhlirza o Zaolziu, gdzie ten sam agent przemysłu angielskiego i niedawny emigrant londyński, stara się spór o Zaolzie przedstawić w znany czeski szowinistyczny sposób. Zaś coraz dzielniej pomaga rozbijać próby o zgodę polsko-czeską administracja czeska na Zaolziu i to na wszystkich odcinkach życia. Aby zdewastować i zniszczyć polskich chłopów na Zaolziu, wyznacza się im horrendalne kontygenty, co jest później pretekstem do zapieczętowania wszystkim chłopom młynków do młocenia i żarn nawet — do wydania nakazu pooddawania wirówek itp. Ubija się wszędzie i wszystko, co polskie. Przed czasem czeski cenzor w Cieszynie Zachodnim Sedlak zakazał chorowi nauczycieli polskich publicznego odpiewania 2 pieśni polskich. Pierwsza z nich to „Ty przyjdź do mnie wieczorem” — zaś druga to „Frydek, Ostrawa, Cieszyn, Opawa”. Jak się zachowali szowiniści czescy na światowym kongresie młodzieży w Pradze wiadomo nam z prasy, ale i to Czechom nie przeszkadza, bo w tych dniach zapropownowali przedstawicielom młodzieży akademickiej różnej narodowości... wycieczkę także na Zaolzie, gdzie przedstawiciele tych w sprawie Zaolzia mają informować jedynie szowiniści czescy, względnie te elementy, które poprzednio zostały przez Czechów przekupione i są odpowiednio instruowane, tak jak to już miało miejsce dwukrotnie z zagranicznymi wycieczkami dziennikarzy przede wszystkim amerykańskich i angielskich, z których niektórzy przebywają na koszt czeski od kilku miesięcy w Czechosłowacji.

Kar.

Miedzy legendą a historią

W Nr 14 „Rzeczypospolitej” zamieszcza poeta Lesław Bartelski artykuł „Pod górą ognia”. Jest to garść wspomnień o jego współtowarzyszach pracy literackiej z okresu konspiracji — Marcu i Łomieniu, redaktorach pisma „Sztuka i Naród”, które ukazywało się w Warszawie od czerwca 1942 r. do sierpnia 1944 r.

Z grupy warszawskich pisarzy — konspiratorów, składającej się przeważnie ze studentów polonistyki tajnego Uniwersytetu Warszawskiego, ocalało zaledwie paru niedobitków. Ci, którzy nie zgineli od kuli okupanta, jak Marzec i Łomień, polegli na barykadach Warszawy jak nieodżałowanej pamięci Karol Topornicki i Krzysztof Baczyński.

Krótkie ich życie, wspaniałe zapowiedzi nieposłusznego talentu, a wreszcie tragiczna śmierć — to wszystko składa się na elementy legendy, która coraz bardziej zaciera indywidualne rysy poszczególnych postaci przemieniając tych ludzi w symbole. Legenda nieśmiertelna swoich bohaterów, ale zarazem mumifikuje ich, wyłącza z bieżącej, stającej się historią. I to właśnie jest niebezpieczeństwem legendaryzacji. A właśnie artykuł Bartelskiego cechują tendencje do tworzenia legendy.

Nie wydaje się jednak słusznym, by ci naprawdę nieprzeciętni ludzie mieli stać się wyłącznie bohaterami heroicznej legendy. Trzeba ich zachować dla życia, trzeba ich twórczość i ich biografie udostępnić, wyjaśnić, ujawnić rzeczywistą wagę ich literackich dokonań. Nikt chyba nie jest do tego upoważniony w tym stopniu, co właśnie bliski towarzysz i współpracownik owej grupy — Lesław Bartelski. To też jego pięknie i gorąco napisany szkic o Marcu i Łomieniu powinien stać się pierwszym ogniwem cyklu prac zapoznających nas bliżej z życiem i twórczością najwybitniejszych pisarzy warszawskiej konspiracji. Tu jednak musi Bartelski dać się poznać przede wszystkim jako historyk i krytyk, gdyż w ten właśnie sposób będzie mógł oddać największą przysługę tym, którzy tak przedwcześnie odeszli, a po których została w najmłodszej literaturze polskiej — pustka.

OD REDAKCJI

Redakcja tyg. „Wieś” nawiązała serdeczne stosunki ze swymi czytelnikami — chłopami. Nadchodzą do redakcji listy ze wszystkich stron Polski, z różnych środowisk. Piszą chłopci z kół wieńcowych, z organizacji politycznych, ze spółdzielni, z kół Samopomocy Chłopskiej.

„Z chwilą, kiedy do naszej wioski zawiązała wiadomość o powstaniu tygodnika literacko-społecznego „Wieś”, zaraz zostałem abonentem. Cóż za przepiękna myśl i idea wstąpiła tym ludziom, którzy tę sprawę ruszyli! Nie mam słów i wypowiedzi, by to odpowiednio określić. Nareszcie będzie chłop-inteligent mógł wypowiadać swą myśl, ileż milionów chłopów będzie mogło wypowiedzieć swe troski, bóle i radości”. (Lucjan Mrugała, pow. Miechów, poczta Łętkowice).

Różne są listy, które przynosi codzienna poczta. Jedną mówią o zmianie, jaką wnosi „Wieś” w codzienne, szare chłopskie życie, w innych autorzy krótko proszą o przysłanie „Wsi”, w innych są nieśmiałe próby pisarskie i prośba o ocenę krytyczną.

Franciszek Ledóchowski, sekretarz zarządu gminnego w Morzeszyczynie, pow. Terew, stwierdza: „artykuły „Wsi” sprawiają mi i solitysom wiele radości i zadowolenia, dlatego też podaję następujących abonentów, którzy proszą o przyjęcie w poczet stałych czytelników.”. Następuje wykaz 20 nowych prenumeratorów.

Redakcja „Wieś” już od paru miesięcy rozsyła stale, nie zrażając się trudnościami, duże ilości okazowych, bezpłatnych numerów „Wsi”. Posyła się „Wieś” do zarządów gminnych, do kół Wici, do kół stronnictw politycznych, do Zarządów Z. S. Ch., do szkół rolniczych i gimnazjów wiejskich, do szkół powszechnych, świetlic, i trzeba powiedzieć otwarcie, wyniki tej naszej akcji propagandowej są jeszcze skromne. Nie wszystkie zarządy odpowiadały na nasz apel. Nie wszystkie zarządy odpisały redakcji — z jakich powodów chcą lub nie chcą prenumerować „Wieś”.

„Wieś” skupia w tej chwili wszystkich pisarzy chłopskich. Do „Wsi” piszą: Jan Wiktor, Stanisław Pietak, Doc, dr Józef Spytkowski, Jalu-Kurek, Paweł Kubisz, Stanisław Nedza-Kubinić, Józef Andrzej Fraski, Antoni Olcha, Jan Bolesław Ożóg, Stanisław Jucha, Marian Kubicki, Józef Ożga-Michalski, Stanisław Skoneczny i wielu innych chłopskich pisarzy.

„Wieś” zawiera publicystykę, prozę, poezję, teatr ludowy, malarstwo, kolumnę młodych, „Wieś” musi być czytana, bo jest potrzebna wszędzie: w kołach „Wici”, w kołach stronnictwa ludowego, w uniwersytetach ludowych i gimnazjach, w szkołach ludowych i rolniczych, w kołach samopomocy chłopskiej, w spółdzielniach.

„Wieś” daje bogaty materiał do pogadarek, inscenizacji, przedstawień i dyskusji w świetlicach i szkołach.

Ten nasz apel kierujemy do tych wszystkich zarządów Organizacji, które „Wieś” już znają. A kierujemy go w imieniu wielomilionowej rzeszy chłopskiej, która chce i musi czytać. Kierujemy go w imieniu tych którzy piszą do nas i proszą o przysyłanie „Wsi”. — Co zarządy organizacji wiejskich, społecznych i politycznych zrobiły, aby jedyną pismo literackie polskiej wsi rozpoznać?

Prosimy o odpowiedź. Prosimy tych wszystkich, którzy nasze pismo otrzymują — dlaczego chcą lub dlaczego nie życzą sobie dalszego przysyłania „Wsi”.

NUMER 19 „WSI” ZAWIERAŁ:

Tadeusz Papier: Krzyże Janiny, Zygmunt Sierp: Krwawe dni, Leon Sobociński: Michał Kaika — poeta ziemi mazurskiej, Jan Aleksander Król: O szkole powszechnej, Józef Pogan: Gwara to nie chiński szary, Józef Andrzej Fraski: Przemarsz, Tadeusz Zochowski: Słuchając Szostakowicza, Zygmunt Kałużyński: „Dziady” wystawione ludowo, Roman Bratny: Nie chcemy ghetta chłopskiego, Lesław Bartelski: Historia, Czesław Janczarski: Wiersz dla syna, Józef Hertel: Ręce matki, Kazimierz Trzechanowski: Szaleństwo, Zygmunt Kałużyński: „Moje pole” Antoniego Olchy, poza tym „Fakty i Zdania”.

MATERIAŁY W REDAKCJI:

Jan Baranowicz: nadesłał wiersze i nowelę pt. „Duże burze”.

Mieczysław Zydler: nadesłał felieton „Nasi bracia nad Bałtykiem” i opowiadanie pt. „Dziwny Anton”.

Jerzy Rytard: nadesłał fragment z komedii — dramatu pt. „Zielone Świątki”.

Aleksander Junosza Gzowski: nadesłał fragmenty z dwu powieści — „Ghetto i las” oraz „Diabeł w Anielowie”.

Donat Lesiowski: nadesłał cześć spuścizny literackiej po Kachnie — Łęczyniance Lesiowskiej.

Maria Ostrawicka-Skotnicowa: nadesłała opowiadania — „Fiołki”, „Różowe sny” i „Noc w Tatrach”.

Numer pojedynczy . . . 5 zł

Miesięcznie 18 zł

Kwartalnie (za 13 numerów) 52 zł

Półrocznie (za 26 numerów) 95 zł

Wpłacać należy na adres:

Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”, Dział prenumerat, Łódź, Piotrkowska Nr 62 (z zastrzeżeniem „na tyg. „Wieś”).

REDAKTOR NACZELNY — Jan Aleksander Król.

KOMITET REDAKCYJNY: Kałużyński Zygmunt, Kubicki Marian, Morton Józef, Ożga-Michalski Józef, Olcha Antoni, Pietak Stanisław.

KOMITET TERENOWY: Fraski Andrzej, Nedza-Kubinić Stanisław, Kubisz Paweł.

Redakcja: Łódź, Piotrkowska 96.

Drukarnia: Łódź, Żwirki 2.

Wydawca: Wydawnictwo Z. S. Chł. w Spółdz. wyd. „Czytelnik”.

D-06262